

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 20 marca 1949 r.

Nr 12 (191)

W NUMERZE między innymi:

J. Drda — Wolność pisarzy
L. Novomesky — Literatura słowacka
Ankieta „Wsi” — Co myślą Francuzi o sytuacji w swej ojczyźnie
T. Orlewicz — Robotnicy w Anglii
J. Baculewski — Inteligencja techniczna
P. Chmura — Etnografia w pamiętniku
W. Breowicz — Pamiętnik
J. Lewański — O Gojawicyńskiej
A. Czechow — Niepokój publiczny
J. Barteci — Wyższe studia na prowincji
P. Pigwa — Oczekiwanie na książkę



Victor Barvitijs (1823—1921)



Lev Šimak (ur. 1896)

Hieronim Edward Michalski

O ZJEŹDZIE PISARZY CZECHOSŁOWACKICH

L iteratura czechosłowacka od chwili ukształtowania się wzajemnych stosunków między naszymi krajami na bazie realnej polityki stanowi coraz większą pozycję w sferze naszych zainteresowań. Uwidaczniają to wymownie fakty w dziedzinie wydawniczej: Oto bilans ogłoszonych u nas przekładów z czeskiego w r. 1938, a więc w okresie, kiedy nastawienia fałszywej polityki nie zostawały bez konsekwencji nawet na sprawy współpracy kulturalnej, zamykał się dosłownie jedną pozycją (a i to było akurat brukowe romansidło o eks-królu Edwardzie i pani Simpson), podczas gdy bilans r. 1943 objął już kilkanaście pozycji. A przecież zainteresowanie znajduje wyraz nie tylko w publikacjach książkowych. Notujemy jeszcze rozległą i coraz narastającą działalność pism, nie tylko udostępniających tłumaczenia, ale i przynoszących artykuły, sprawozdania i wiadomości.

To coraz większe z naszej strony zainteresowanie literaturą czechosłowacką ma swoje głębsze przesłanki. Szukamy w kulturze światowej tych wartości, które pozwalają nam wzbogacić kulturę narodową. Więcej. Dzisiaj, w dobie wzmożonej presji imperializmu, który, podlegając do nowej wojny, w ślad za presją polityczną i ekonomiczną, próbuje również wywierać bardzo wyraźną presję ideologiczną, zmierzającą do wywołania w umysłach zamęt i podzielenia świata na dwa obozy, — szukamy w kulturze światowej międzynarodowej solidarności idei postępu i pokoju. Literatura czechosłowacka, posiadająca silne i piękne tradycje postępowe, staje się więc tym bliższym sojusznikiem wysiłków naszej literatury na drodze do postępu i pokoju.

Przełożone dotychczas utwory pisarzy czechosłowackich ukazują różne postawy i różne nurty dążeń. Jest to zrozumiałe, są to bowiem jeszcze utwory z poprzedniego okresu, odbijające w sobie wszystkie jego przeciwieństwa. Czechosłowacja po lutym 1948 r., po złamaniu reakcji wkroczyła zdecydowanie na drogę budowy socjalizmu. Nowy okres, mobilizujący wysiłki mas ludowych, wymaga również mobilizacji wysiłków literatury. Nowy okres stawia przed pisarzami nowe, konkretne zadania. Literatura, która narodzi się w tym okresie, będzie niewątpliwie już inna od tej, z którą mieliśmy możliwość poznać się dotychczas.

Na pytanie, jaka powinna być i jaka będzie literatura nowej, kroczącej ku socja-



Dni lutowe w Pradze

lizmowi Czechosłowacji, dał odpowiedź odbyty w Pradze w dniach od 4 do 6 marca Zjazd Pisarzy Czechosłowackich. Jechaliśmy z Stefanem Żółkiewskim do Pragi jako delegaci Związku Literatów Polskich, z ciekawością. Tego rodzaju przecież zjazdy, jak wiemy z naszego terenu, dostarczają zawsze obserwatorowi okazji do poznania narastającej problematyki zarówno życia literackiego, jak i literatury, głównych napięć i tendencji rozwojowych, obrazu krystalizowania się świadomości zadań, które stają przed literaturą i które pragnie ona podjąć.

Zjazd praski, jeżeli wolno w ogóle mimo istotnych podobieństw w problematyce czynić takie porównania, miał bardziej zasadnicze dla rozwoju życia literackiego Czechosłowacji znaczenie, niż u nas styczniowy zjazd szczeciński. Całkowicie słusznie podkreślali czechosłowaccy koledzy jego przełomowe, historyczne znaczenie. Leżało ono na dwóch płaszczyznach: ideowej i organizacyjnej. Najważniejsza oczywiście była płaszczyzna ideowa, wyrażająca się w tezie zjazdu: „literatura czechosłowacka musi przejść taki przełom, jakim dla kraju były wydarzenia lutego 1948 r.” Z tej tezy bowiem jako konkretne wnioski realizacyjne wypływały wszystkie posunięcia organizacyjne.

Dotychczas w Czechosłowacji działały

dwa odrębne związki literackie: Syndykat Pisarzy Czeskich oraz Stowarzyszenie Pisarzy Słowackich. Zjazd praski położył kres tej dwoistości, wykorzystywanej częstokroć przez reakcyjnych szowinistów do prób nacjonalistycznego różniczkowania kultury Czechosłowacji. W szeregu wystąpień, a przede wszystkim w referacie Novomeskygo, wiceministra szkolnictwa, nauki i sztuki na Słowację, podkreślano jedność celów i dążeń literatury pisanej w językach czeskim i słowackim i konieczność stworzenia realnej bazy organizacyjnej do stopienia dwujęzycznej literatury w jedną organiczną literaturę narodową. Przełamanie ciasnego nacjonalizmu zaliczyć należy niewątpliwie do pozytywnych osiągnięć zjazdu.

Na podkreślenie zasługuje jako charakterystyczna cecha i osiągnięcie zjazdu praskiego jeszcze jedno posunięcie organizacyjne. Sam dotychczasowy Syndykat Pisarzy Czeskich liczył 1900 członków. Nowo powstały połączony Związek Pisarzy Czechosłowackich liczy obecnie tylko 280 członków. Specjalnie wyłoniona 50-osobowa komisja weryfikacyjna przeprowadziła selekcję olbrzymiej, przeważnie zresztą przypadkowo znajdującej się w związkach masy, weryfikując w prawach członków jedynie czynnych i twórczych pisarzy. W ten sposób nowopowstały związek, na

którego czele stanął znany w Polsce pisarz Jan Drda, stał się ciałem operatywnym, mogącym dzięki swojej zwartości i jednolitości niewątpliwie skutecznie kształtować życie literackie kraju i wpływać na tendencje rozwojowe literatury, stał się nie tylko organizacją zawodową, ale przede wszystkim ideową, stawiającą i podejmującą konkretne zadania — związania literatury z nurtem dokonywających się przeobrażeń, wypełnienia przez literaturę swojej roli w służbie budowy socjalizmu.

Zjazd praski, obradujący w gmachu Narodního Zgromáždění, wzbudził ogromne zainteresowanie w kraju. Oprawa jego była bardzo uroczysta. Delegację pisarzy przyjął na specjalnej audyencji prezydent Gottwald. Obradujący zjazd witali: marszałek parlamentu — dr. Oldřich John, premier — Antonín Zapotocký, minister szkolnictwa, nauki i sztuki — prof. Zdeněk Nejedlý, minister informacji i oświaty — Wacław Kopecký, wiceminister szkolnictwa, nauki i sztuki na Słowację — L. Novomesky. Obradom zaś przysłuchiwali się nadto wicemarszałek parlamentu — Anerzka Hodinová-Spurná, wicepremier — Fierlinger, minister spraw zagranicznych — Clementis, minister rolnictwa — Durisz, prezydent Pragi — dr. Vacek.

W zjeździe uczestniczyli również liczni literaccy goście zagraniczni: Delegacja radziecka — Wadim Kożewnikow, Borys Polewoj, Stiepan Szczipaczow, Iwan Anisimow oraz w pierwszym dniu, bawiący przejazdem z Paryża Aleksander Fadiejew. Delegaci rumuńscy — Jeleleana i Witner, delegat węgierski — Gergely, pisarz francuski — Pozner, brazylijski — Jorge Amado, argentyński — Alfredo Varela, amerykański — Michael Gold, norweski — Hansen, poeta angielski Dylan Thomas, wreszcie delegacja polska.

Obecność i przemówienia zarówno przedstawicieli rządu, jak i delegatów zagranicznych pozbawione były całkowicie jakiegokolwiek cechy zdawkowej czy okolicznościowej oficjalności. Zrozumiałe jest, że zjazd pisarzy, którzy dla swojej twórczości wyznaczyli jako cel włączenie się do służby budowy socjalizmu w Czechosłowacji, musieli przyciągnąć uwagę czołowych osobistości politycznych, doceniających rolę, jaką do wypełnienia posiada literatura w kształtowaniu i mobilizowaniu mas. W przemówieniach polityków widoczne było zrozumienie warunków, decydujących o rozwoju literatury. Przemó-

wienia min. Nejedli i wicemin. Novome-
skyego dawały analizę problemów kultu-
ralnych, tradycji i tendencji postępowych.
Nie stereotypowego nie było również
w serdecznych przemówieniach gości za-
granicznych. Pisarze, rozumiejący znacze-
nie, jakie literatura odgrywa i odegrać
może w walce o pokój i postęp, szczegó-
lnie w obecnym okresie naporu imperializ-
mu, dawali wyraz radości, że nowy Zwią-
zek Pisarzy Czechosłowackich, podejmują-
cy poważne zadania budowy socjalizmu
razem z masami pracującymi, wzmacnia

ogólny front walki o pokój i postęp. Za-
gadnienia te nie są ani obce, ani obojętne
postępowym literatom całego świata, łą-
czącym się międzynarodową solidarnością
idei budowania lepszego jutra. Trafnie
podkreślił to Stefan Žolíkewski, pozdra-
wiając zjazd Od Związku Literatów Pol-
skich i opowiadając o naszych wysiłkach
i dążeniach.

Wspomniałem już, że tezę przewodnią
zjazdu praskiego, przewijającą się przez
wszystkie referaty i głosy dyskusji, było
hasło związania literatury z dziełem bu-

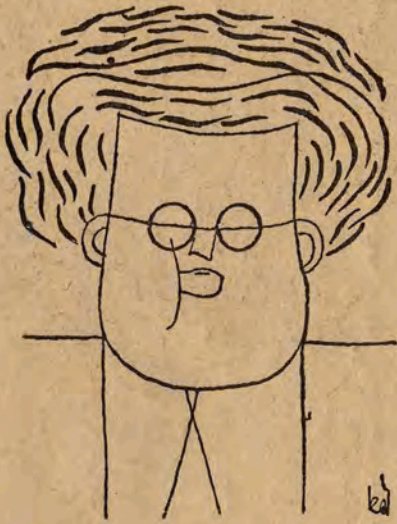
dowy socjalizmu. W związku z tym ce-
lem musiało stać się zagadnienie realizmu
socjalistycznego. Trzeba stwierdzić, że za-
gadnienie to postawione zostało przez re-
ferentów i dyskutantów mocniej i odważ-
niej niż na ostatnim styczniowym zjeździe
naszych literatów w Szczecinie. Niewątpli-
wie przyczynił się do tego fakt, że Zwią-
zek Pisarzy Czechosłowackich po swoich
przeobrażeniach organizacyjnych stał się
jedyną organizacją w pełnym tego sło-
wa znaczeniu ideową. Dyskusja nad ogólnymi
założeniami i celami przesłoniła za-

pewne w obrazie zjazdu sprawy szczegó-
wej analizy obecnego stanu literatury, jej
braków i osiągnięć. Niemniej jednak po-
waga dyskusji i powszechna zgoda z ha-
słem włączenia się w służbę budowania
socjalizmu pozwalają postronnemu obser-
watorowi sądzić, że zjazd był wyrazem
przełomu, dokonującego się w literaturze
czechosłowackiej, przełomu, którego re-
zultatem będą w niedalekiej przyszłości
utwory, dające obraz przeobrażeń współ-
czesnej Czechosłowacji.

H. E. Michalski

Jan Drda

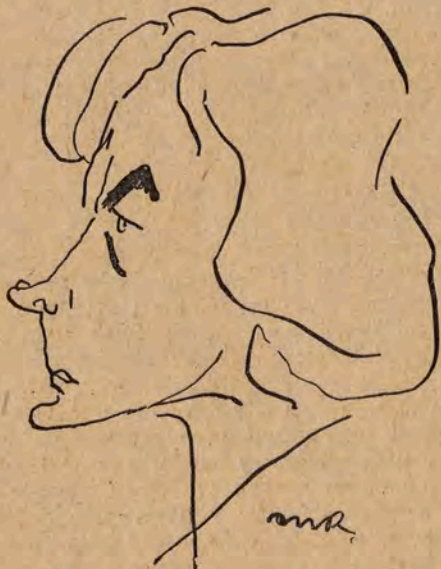
WOLNOŚĆ PISARZY*)



Jan Drda

Drodzy przyjaciele!
Na naszym dzisiejszym zjeździe
jesteśmy bogatsi o doświadczenie
okresu dzielącego nas od ostatniego zjaz-
du pisarzy czeskich, który miał miejsce
w 1946 roku, a który odbywał się pod
hasłem szczerej współpracy Frontu Naro-
dowego. Nie wiedzieliśmy jednak, że są
między nami i tacy, którzy jedynie udają
entuzjastyczny współludź i jedność.
Ówczesna rezolucja uchwalona na zjeź-
dzie mówiła o wytypowaniu resztek faszys-
mu u nas, odrzuceniu obojętny liberalizm
humanistyczny, opowiadając się po stro-
nie humanizmu socjalistycznego. Była
wyrazem nadziei większości naszych pisa-
rzy, znajdujących się na drodze do socja-
lizmu. Dziś jesteśmy bogatsi o polityczne
doświadczenie trzech lat. W twardej wal-
ce musieliśmy wywalczyć nasz ustrój de-
mokratyczny ludowej. Musieliśmy bronić
przed sabotażystami dwuletniego planu
gospodarczego. Lud nasz musiał się bro-
nić przed odsunięciem go od władzy
i przed wydaniem go nowemu uciskowi.
Socjalizm miał być wymieciony z naszej
ziemi. Trzeba było dopiero lutego i wiel-
kiego czynu Klementa Gottwalda, aby
rozbić siły reakcyjne i by droga do socja-
lizmu znów została otwarta. Na owym
pierwszym zjeździe wystąpili mówcy, gło-
szący ponadczasowość i ponadklasowość
sztuki. Dyskutowaliśmy z nimi uczciwie
i długo, gdyż mieliśmy nadzieję, że po-
znają oni prawdę i że wejdą na drogę do
socjalizmu. Zwolna demaskowali się oni
jako nieprzyjaciele, którzy z wyrachowa-

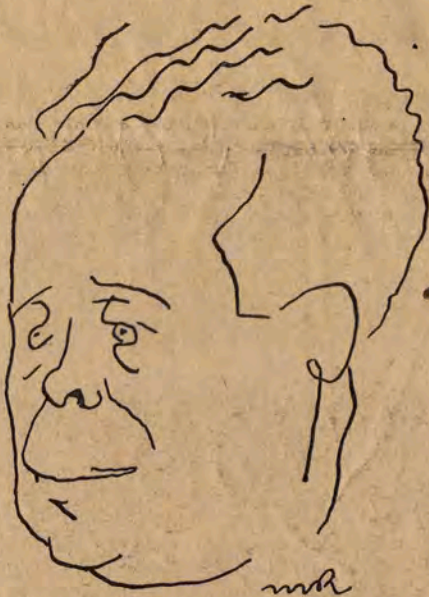
*) Przemówienie na Zjeździe Pisarzy Cze-
chosłowackich. Tytuł pochodzi od redakcji.



Maria Pujmanowa

niem dezorientują, odizolowują nie dość
uświadomionych pisarzy, aby móc ich
w końcu skierować przeciwko rozwojowi
i postępowi. Ich reakcyjna robota prowa-
dzona była wyrafinowanie. Z jednej stro-
ny pospolite dziennikarstwo oddziało
kulturę od polityki, z drugiej mieszczań-
scy krytycy i publicyści twierdzili, że po-
lityka nie ma nic wspólnego z wysokimi
regionami kultury, która nie powinna
służyć brudnej praktyce. Odmawiali w ten
sposób pisarzom prawa do uczestniczenia
w życiu politycznym czyniąc z nich wy-
niesionych ponad przeciętność wielmo-
żów autonomicznego państwa Sztuki,
grozili im utratą „wolności”.

Pisarze byli wolni jako część składowa
całego naszego ludu. Obrona ich intere-
sów przed ludem? Przecież to lud jest
ich prawdziwym obrońcą, a pisarze jedy-
nie u jego boku, w ścisłym połączeniu
z nim mogą osiągnąć wolność i ją obro-
nić. Wolność artystyczna to nie to, co
w okresie demokracji mieszczańskiej na-
zywało się „wolnością tworzenia”, która
pozwalala na to, by pisarz był wykorzy-



Franciszek Halas

stywany przez wydawców, przymierając
często głodem. W przedmonachijskiej re-
publice wolność była większa, niż w fa-
szystowskich Niemczech. Nasi pisarze lu-
bia robić to zestawienie. W Niemczech
zamykali na lata, a u nas tylko na mie-
siące, np. Ivana Olbrachta, Fuczika,
a miara wolności autora w przedmona-
chijskiej republice, odmierzana była
wstrętnym smakiem czytelników miesz-
czańskich i kapitalistycznych wydaw-
nictw.

Miarą szczodrości obrońców ówczesnej
kultury była miara chęci służenia tymże
obrońcom. I ostatecznie wolność ta wy-
glądała w ten sposób, że — cytując znaną
wypowiedź Stalina — pisarz mógł swo-
bodnie umrzeć pod mostem. A prawdziwa
wolność może zaistnieć tylko tam, gdzie
nie ma wykorzystujących. Widzimy więc
dziś, że efektywna wolność może powstać
jedynie przez uczciwe budowanie socja-
lizmu. Absolutnej swobodzie musimy
przeciwstawić związek pisarzy z ludem
pracującym, którego dzielność jest porę-
ką wszelkich ludzkich swobód. Dobrowolnie
zadecydowany marsz z ludem jest twór-
czą wolnością pisarza. Jak mówi Bieliń-
ski: twórczą wolność widać dopiero w har-
monii z rzeczywistością.

Luty 1948 roku wykazał, że właśnie ci
najwięksi krzykacze, którzy zawsze mieli

wolność na ustach, najwięcej ją zdradzali.
Luty wykazał, że twórczej wolności nie
trzeba było bronić przed ludem, ale, że
odwrotnie, lud musiał bronić wolności ca-
łego narodu.

Powiedzmy sobie teraz, w jakim miej-
scu znajduje się dziś nasza literatura, ja-
kie są jej zadania na przyszłość. Jeśli
przypatrzymy się okresowi od 1945 do
1948 roku zauważymy, że działo się mało
w porównaniu z roboczym entuzjazmem
dwuletni, w porównaniu z tym, jak wiel-
kie zmiany zaszły na przykład w tym
okresie w przemyśle i w rolnictwie. Sami
to czujemy, spotykamy się z tym w cza-
sopismach, na zebraniach, na konferen-
cjach z robotnikami, którzy pytają się
nas: Gdzie są nowe książki? Dlaczego nie
piszecie? Ten stan rzeczy musimy poddać
dokładnej analizie.

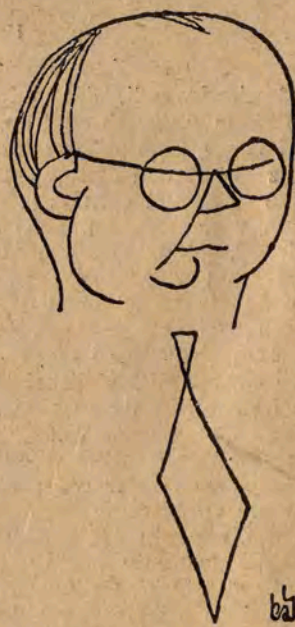
Można wskazać pięć głównych powo-
dów, które zmniejszyły w ostatnich trzech
latach siłę rozwojową naszej literatury.
Towarzysz Baresz wspominał już o nich
na aktywie pisarzy komunistycznych na
początku zimy w ubiegłym roku, będą-
cym niejako wstępem do dzisiejszego
zjazdu:

1) Wzrastająca gwałtowność walki po-
litycznej zmusiła wielu pisarzy postępo-
wych do przyjęcia na siebie innych zadań
i do wzięcia udziału w wykonywaniu pla-
nu rozbudowy na innych stanowiskach.

2) U innych pisarzy rozjątrzenie wyda-
rzeń wywoływało poczucie jakiejś nie-
pewności. Nie wynikało to z jakichś powo-
dów koniunkturalnych, lecz ludzie tego
typu co pisarze nie umieją czasem odpo-
wiednio reagować na wartki rozwój wyda-
rzeń politycznych.

3) Trzecim powodem była negatywna
rola krytyki formalistycznej, która za-
miast dawać podjęcie do nowej twórczo-
ści, wprowadzała pisarzy w błąd i przy-
czyniała się do ich dezorientacji.

4) Pisarze żyli w silnym odizolowaniu
i nie posiadali bezpośredniego życiowego
kontakt z ludem oraz ze współczesną
rzeczywistością.



H. E. Michalski

5) Utrudnieniem były również organi-
zacyjne niedomaganie pracy pisarskiej.

Odizolowanie pisarzy prowadziło cza-
sem do tego, że czekali oni na przepisy,
jak mają pisać. Nie rozumieli hasła „Sztu-



Antoni Zapotocky

ka dla ludu”. Zdawało im się, że będą
musieli zrezygnować ze sztuki. My zaś dą-
żymy do czegoś całkiem przeciwnego, ce-
lem naszym jest najwyższe mistrzostwo!
Niektórym pisarzom wydawało się, że nie
trzeba wcale pokazywać żywego człowie-
ka, że wystarczy, aby bohater był głośną
trąbą idei. Mylili się! Innym pisarzom
natomiast wydawało się, że nasi klasycy
nie mają już nic do gadania. Odpowia-
dam im słowami towarzysza Żdanowa: —
„Abyśmy mogli klasyków przegonić trze-
ba, abyśmy ich przedtem dogonili”. Lite-
ratura czeska ma w swym rodowodzie
J. K. Tyla, B. Niemcovą, Nerudę, Sladka,
Czecha, Ivana Olbrachta i Marię Maje-
rovą.

Dziś stoimy przed zagadnieniem realiz-
mu socjalistycznego. Wielu wydaje się,
że chodzi tu o receptę, jak pisać. Istotą
sprawy natomiast jest nowe wycucie ży-
cia, nowa metoda twórcza. Korzenie jego
tkwią w najlepszych tradycjach naszej
przeszłości kulturalnej. Należało do dob-
rego tonu w literaturze, że bohater był
pesymistą z powodu faktu swojego ist-
nienia. Zdrowy bohater nadawał się jedy-
nie do wyśmiania. Dziś klasa robotnicza
przystąpiła do zwycięskiej walki. Po tym,
co na zachodzie odzywa się w literaturze
histerycznymi jękami duszy, przejętej
strachem, w literaturze radzieckiej oraz
w literaturach demokracji ludowej wy-
stępują bohaterowie klasy robotniczej,
pełni wewnętrznie pogłębionego optymiz-
mu. Klasa robotnicza waży swe siły, by
zmienić i ulepszyć świat. Odsuwa prze-
ciwstawienie między snem a rzeczywisto-
ścią. Romantyczny sen o ludzkim szczęściu
staje się rzeczywistością w rewolucyjnym
boju ludu pracującego.

Należy dać twórczości literackiej maso-
wy zasięg, zyskać młodych adeptów z kla-
sy robotniczej i chłopskiej. Trzeba umo-
żliwić tym pisarzom, którzy dotychczas
siedzieli w domu, wejście na drogę do ży-
wej rzeczywistości, trzeba zaprowadzić ich
do rzeczywistości, do konkretnych środo-
wisk, aby znaleźli w nich tematy do swo-
ich prac. Trzeba też, aby w pełni mogła
rozwinąć się ich działalność pisarska,
uwolnić ich od materialnych trosk egzy-
stencji. Komisja twórczości Związku Pi-
sarzy Czechosłowackich będzie przede
wszystkim dawać rady młodym a organi-
zować twórcze podjęcie wewnętrzne i ze-
wnętrzne. Pomocą dla niej będzie pod
tym względem nasza krytyka i radzieckie
doświadczenia.



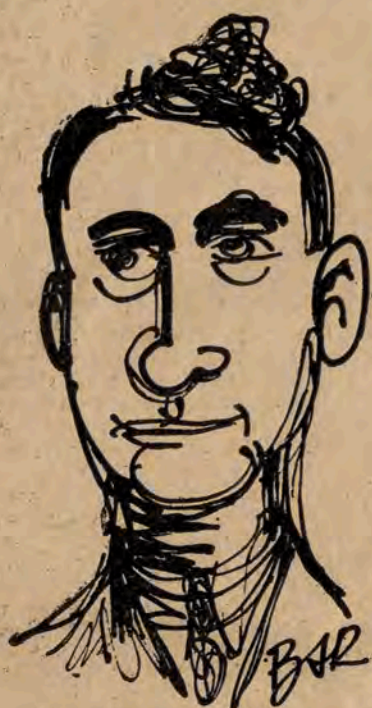
Jiří Krejčí: Krajobraz

Studio Teatru Kukielkowego w Pradze
Foto K. Drbohlav

Czechosłowacka sztuka ludowa

Loco Novomesky

Przemiany w literaturze słowackiej*)



Loco Novomesky

Zdaje mi się, że najbardziej godnym uwagi zjawiskiem w naszym świecie artystycznym i literackim w okresie po drugiej wojnie światowej jest stałe wzrastające uświadamianie sobie bezsensowności takiej twórczości, która wychodzi z osamotnionego artysty.

Trzeba przekonać się, że niemożliwym jest rozwój po tej właśnie linii, że wykluczonym jest zatrzymanie się, czy też posuwanie się w ulicę, o której z całą pewnością wiemy, że jest ślepa.

Co więc należy uczynić, od czego zacząć? Przede wszystkim należy sprawić, by nasz pisarz, artysta tego okresu, był uzbrojony w wiadomości o socjalizmie. Twórca i budziciel powinien opanować problemy ideologii socjalistycznej. Nie po to, by przypisywać jej konkluzje, względnie by w jakiś mechaniczny sposób roztrząsać je w swojej twórczości, lecz po to, by stać się zdolnym zrozumieć życie, by być zdolnym widzieć i spostrzegać najrozmaitsze zjawiska, na których powinna skupić się jego uwaga.

Literaturę słowacką cechuje w jej najszlachetniejszym wysiłku serdeczny stosunek do konkretnego życia naszego ludu. Gdyby stosunek ten wystarczał sam w sobie, literatura nasza byłaby najdoskonalszą. Lecz czy wystarcza? Zwróćmy uwagę jedynie na tak często pojawiający się w beletrystyce i poezji słowackiej motyw życia wiejskiego oraz stosunku do miasta i całego świata. Jakże bezradną staje się nasza beletrystyka w rozwijaniu i roztrząsaniu tego naszego narodowego tematu. Nie umie ona odzwierciedlić haniebnego i obrażającego godność ludzką życia na wsi, każe bohaterowi porzucić je dla przygody, znacznie gorzej odzwierciedla życie w mieście, z którego oszukany, ciężko doświadczony, ścigany przez zły los bohater wraca do swej chałupki, w której może być ubogo, ale uczciwie, obyczajnie i po swojemu. Problemy naszego życia właśnie w ten sposób były dotychczas rozwiązywane przez naszą dotychczasową literaturę, za którą w ślad poszła również współczesna literatura realistyczna. Jasnym jest, że w okresie intensywniej mądralizacji konserwatywnej wsi stanowiła realną pozycję w wal-

ce o zachowanie naszego życia narodowego. Lecz czy była ona naprawdę tego zachowania podstawą i poręką? Przeszłość wykazała, że nie!

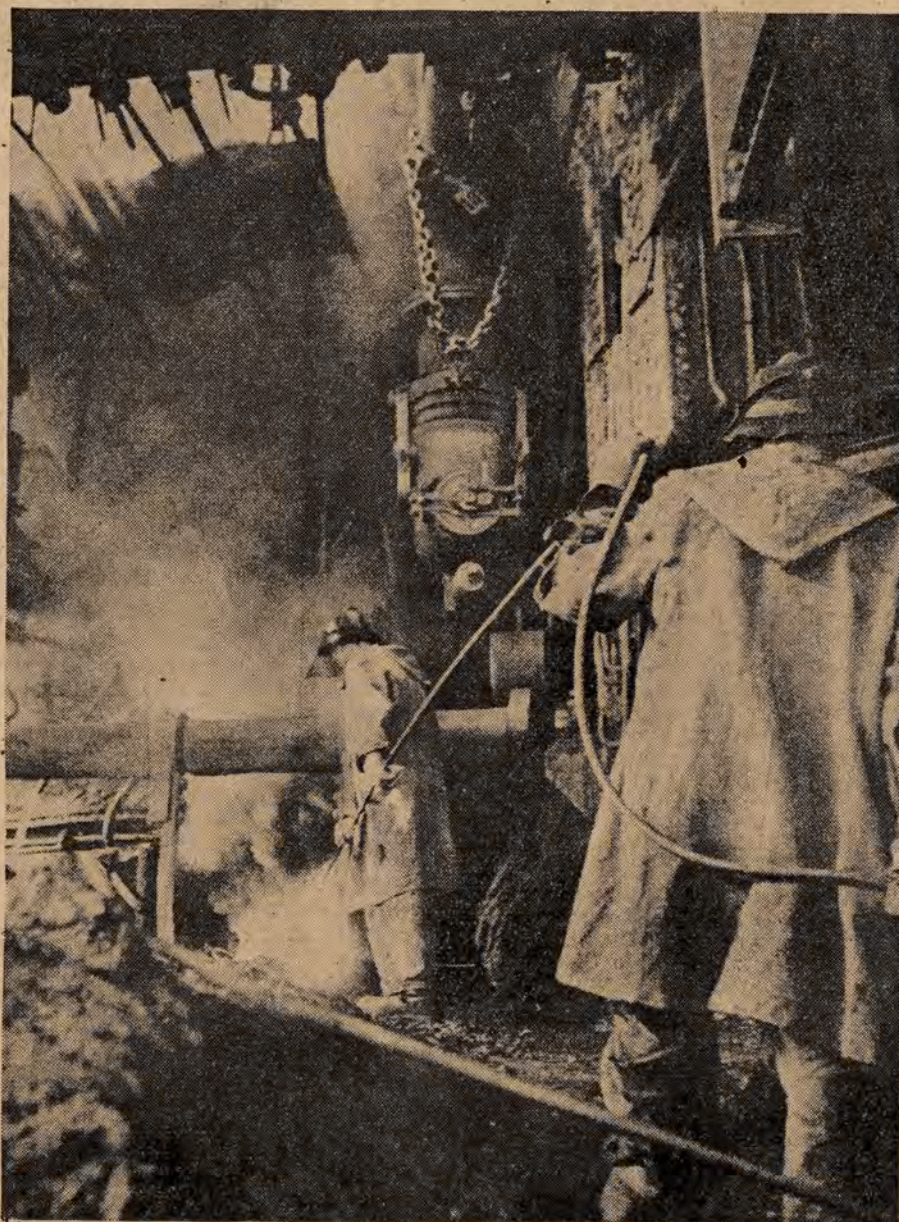
Jedynie Jilemnický, jak mi się wydaje — jeśli nie jedyny, to w każdym bądź razie pierwszy — wysłał swego bohatera z tego trudnego i beznadziejnego życia do Związku Radzieckiego, jako symbol optymistycznego zakończenia oraz jako realne wyznaczenie nadziei naszego życia. Jilemnický już wówczas był komunistą i wybrał to rozwiązanie nie jako typowe czy też powszechne w naszych stosunkach, ale dlatego, że chciał świadomie wyznaczyć perspektywę naszemu wyjściu z sytuacji, w którą popadliśmy. Naszą starszą literaturę, która swój punkt wyjścia widziała w zwróceniu się do naszego największego brzemienia, w niezmiennym trwaniu w konserwatywnych przyzwyczajeniach oraz pogodzeniu się z naszą przeklętą nędzą, można usprawiedliwić tym, że w owych czasach nie było jeszcze Związku Radzieckiego, a socjalizm był dalekim snem nielicznych ludzi a nie jednomyślnym pragnieniem wszystkich członków tych klas społecznych, dla których jest ustanowiony. Nie byłoby jednak możliwym usprawiedliwić naszej literatury, jeśli by chciała ona istnieć i rozwijać się bez chęci przyczynienia się do ustanowienia i rozwoju socjalizmu. Tezy współczesnej wiedzy o społeczeństwie muszą być dla niej przewodnikiem i kompasem, nigdy zaś ciałym szablonem, zwięzającym rozwój twórczości literackiej, zmniejszającym jej poznanie czy też zakrywa-

jącym prawdziwe — socjalistycznie prawdziwe podobieństwo rzeczywistości.

Jeśli w przeszłości typowym był ów chłop, którego nasza literatura wysyłała na błędną drogę w świat, a następnie każała wracać do rodzinnej chaty, jeśli innym typem słowackiego życia był bezsilny emigrant, dziś typowym naszym przedstawicielem zaczyna stawać się chłop, którego wzrastające uprzemysłowienie Słowacji wyrzuca z wiejskiej idylli. Mamy tu do czynienia z najciekawszym objawem. Zacołana, rolnicza Słowacja zamienia się w kraj uprzemysłowiony. Już dziś w początkowym okresie tego uprzemysłowienia punkt ciężkości przesunął się z kręgów społeczeństwa wiejskiego na krąg pracowników przemysłowych, budowlanych, rzemieślniczych.

Przemiany gospodarcze i społeczne, wprost niewiarygodne, jeśli przypomni sobie stan sprzed 50 laty, cudowne, jeśli porównamy ich doniosłość dla naszej przyszłości z jeszcze żywymi wspomnieniami naszych ojców, przemiany te czekają na utrwalenie ich przez literaturę i sztukę w całości i w szczegółach, w perspektywie historycznej i losach poszczególnych ludzi.

Abysmy jednak ten proces mogli dobrać zrozumieć, musimy dokładnie i szczegółowo poznać tezy współczesnej wiedzy o społeczeństwie, które przecież dały podniecie do tego rozwoju, a bez których wszystkie przemiany w naszym życiu mogą wydać się przypadkowemu widzowi jedynie przypadkowym zbiorem po-



W hucie

zornych sukcesów. Znajomość głównych tez wiedzy o społeczeństwie nada twórczości literackiej i artystycznej taki charakter, który jej automatycznie uniemożliwi popadnięcie w błędy poprzednich okresów. Umożliwi ona naszej sztuce pokazanie nie stanu, ale ruchu zjawiska, umożliwi dostrzeżenie wyników.

Drugą cechą, która wypływa automatycznie z tego wszystkiego, czego dotychczas domagaliśmy się od literatury i od sztuki, to uświadomiona i bezwarunkowa orientacja pisarzy we wszelkich zjawiskach naszego codziennego życia, przede wszystkim zaś pracującego człowieka.

Powinniśmy pamiętać o tym, by nasi ludzie, którzy przetrwali gwałt i przemoc faszyzmu, którzy zwyciężyli przy pomocy żołnierza radzieckiego w naszym ludowym słowackim powstaniu, którzy zwyciężają w odbudowie swego zniszczonego kraju, którzy razem z czeskiimi ludźmi tej samej klasy zwyciężyli machinacje politycznej reakcji w lutym ubiegłego roku, a dziś budują swój socjalistyczny ustrój, pamiętajmy o tym, by ludzie ci zobaczyli siebie w naszej literaturze, w naszej sztuce. Niech zobaczą się całkowicie, z zalecaniami i wadami, z pomyłkami i osiągnięciami, niech zobaczą swe dzieciństwo — a swe młode dzieciństwo zobaczą właśnie w prawdziwym i prawdopodobnym opisie przeszłości — niech zobaczą swój wiek dojrzały, jakim bez wątpienia jest dzień dzisiejszy.

Takimi są zadania naszej literatury, najważniejsze zadania, jakie kiedykolwiek przed nią stały. Ponieważ nie jest już ona obroną ani pocieszeniem rodaków, miotających się w beznadziei, nie jest oburzeniem z powodu niesprawiedliwości losu, ale wyobrażeniem i kształtowaniem zwycięskiego człowieka, po raz pierwszy decydującego o swym własnym losie.

Wypełnienie tych zadań jest głównym celem naszej literatury, naszych pisarzy. Głównym zadaniem nie jest tylko z punktu widzenia społeczeństwa, do którego ma się przybliżyć nasza literatura, ale również z punktu widzenia literatury jako takiej. Wahanie, odkładanie zadań, zastanawianie się w trakcie ich wypełniania, brak zdecydowania w przystosowaniu do tych problemów, wszystko to kryłoby w sobie wielkie niebezpieczeństwo, że cała nasza literatura, cała nasza sztuka znajdzie się na peryferiach zainteresowań społecznych. Uświadomiliśmy sobie te niebezpieczeństwa na ostatnim powiększonym plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego Słowackiej Partii Komunistycznej, gdy to jeden z drugim występowali prości robotnicy, stawiając nam pytania tak rzeczowe, przemyślane i przeznaczone, dalekie od jakiegokolwiek demagogii czy patosu, że musieliśmy podziwiać ich dojrzałość. Uzmysłowiliśmy sobie wtedy, jak bardzo nasza twórczość literacka i artystyczna, nasze życie intelektualne są zopóźnione w porównaniu z rozwojem sił socjalnych, zamiast znaleźć się na przodującym, kierowniczym stanowisku.

Tłumaczył E. Martuszewski

*) Fragment z przemówienia na Zjeździe Pisarzy Czechosłowackich odbytym w Pradze w dn. 4 — 6 marca 1949 r.

Co myślą Francuzi o sytuacji w swojej ojczyźnie?

Organizator powyższej ankiety zebrał na zamówienie redakcji „Wsi” kilka wypowiedzi mieszkańców Grenoble i departamentu Isère, wybranych przypadkowo wśród różnych warstw społecznych. Wszyscy oni uczestniczyli w ruchu oporu, choć nie reprezentują tych samych idei politycznych i filozoficznych.

Z wielką jasnością wyrasta w tych wypowiedziach obraz niezadowolenia, które nurtuje naród francuski, i wzrastającego oporu, przede wszystkim klasy robotniczej, na stronę której przechyla się coraz wyraźniej drobne mieszczaństwo i chłopstwo.

1) Maurice Prieto, robotnik zatrudniony w przemyśle chemicznym, były ochotnik w brygadzie międzynarodowej w Hiszpanii, kombatan Franc-Tireurs et Partisans Français, deputowany polityczny (Buchenwald).

„O naszej najbliższej przeszłości powiem jednym zdaniem: w chwili wyzwolenia nie byliśmy sami w naszym kraju, mieliśmy amerykańskich i angielskich gości. Dzisiejsza sytuacja jest dla mnie jasna. Nasz rząd reprezentuje wielkich posiadaczy. Sprzedają na Francję, jej interesy narodowe i niepodległość w zamian za protekcję i pomoc w eksploatacji nas, robotników. Realizują oni wielkie zyski, podczas gdy my nie mamy nawet „minimum vital”. Lecz polityka ich jest krótkowzroczna, a cierpliwość mas ludowych się kończy. Jestem optymistą, szczególnie obserwując reakcję towarzyszy pracy. Nawet ci naiwni, którzy w zeszłym roku myśleli, że Amerykanie chcą nam dać wszystko — za nic, za darmo, dziś zmienili zdanie, widzą jak to jest naprawdę. My, Francuzi, nie zgadzamy się na sprzedaż naszych wolności i naszego kraju za kilka ton suszonych gruszek. Rząd nie pyta się nas o zdanie — za prawdę, ale my, robotnicy i wszyscy inni potrafimy tupnąć nogą i przypomnieć o naszym istnieniu. Coraz więcej jest wśród nas takich, co mówią, że dość już tego bałaganu, że to nie warto wysilać się, pracować więcej, niby dla Francji, a w rzeczywistości dla patrona, który kupi sobie nowego Chevroleta z tego, co my nie dojadamy. Mamy dość tego rządu, który broni fabrykantów, a w odpowiedzi na nasze żądania daje wiatraka. Jestem optymistą, bo wierzę, że zbliża się dzień, kiedy wszyscy, co myślą jak ja lub podobnie, zjednoczą się i ustanowią rząd demokratyczny, a wraz z nim inną Francję”.

2) Roger Bonnenfant, górnik z basenu La Mure, syndykalista, uczestnik strajku w 1941 roku w Pas de Calais.

„Co myślimy o sytuacji we Francji, my, górnicy, powiedzieliśmy naszym ośmiogodzinowym strajkiem. Spadły i spadają na nas nadal represje rozbiciejczych kapitalistów, jakich nie znamy w czasach III Republiki, lecz duch nasz jest silny. Rezultatem tych represji jest jeszcze większe zjednoczenie się wszystkich górników wokół C. G. T. Ten krótki urywec z procesu jednego starego górnika, który stanął przed trybunałem za udział w strajku, może być dowodem naszego stanu moralnego.

— Jesteście komunistą? — pyta sędzia.
— Nie — odpowiada stary górnik.
— Jesteście C. G. T-istą?
— Także nie.
— Więc dlaczego nie chcieliście wrócić do pracy? Dlaczego baliście się górników — komunistów?

— Nie, w naszym zawodzie nie ma młej-sca na strach. Śmierć mamy przed sobą codziennie, gdy zakładamy dynamit. Nie wróciłem do pracy, bo w takich warunkach nie pracowałem przy „boszach”, nie będę pracować i przy Jules Mochu, nie pracowałem przy „SS”, nie zmusi mnie więc C. R. S.”

Wrócił do pracy śpiewając międzynarodówkę, ale strajk się nie skończył. To jest tylko zawieszenie broni. U nas, nie pozwalają nam czuć nad bezpieczeństwem w kopalniach, a płacą 560—590 fr. dziennie, za 8 godzin pracy w szybie, na dzień. Dlaczego tak jest? Bo przemysł węglowy został znacjonalizowany przez wrogów nacjonalizacji i jest on dziś wspólną własnością tej grupki wyzyskiwaczy, która rządzi Francją. W Pas de Calais znamy dużo górników Polaków. To dobrzy robotnicy. U Was, w Polsce, górnicy są otoczeni opieką i sympatią całego narodu, my jesteśmy otoczeni kordonem C. R. S.! Ale to nic, przypominam: „Ce n'est qu'une trêve!” (To jest tylko zawieszenie broni!).

3) Gerard Peiss, pisarz (autor „La terre promise” Edition sociale, 1947) uczestnik ruchu oporu w dep. Nord, dyrektor „Maison de la Culture” (Dom kultury), członek komitetu federalnego K. P. F.

„Moim zdaniem, wszystkie nieszczęścia, których doznajemy obecnie we Francji, są rezultatem powrotu do władzy elementów wielko- i kapitalistycznych. W okresie powojennym zdawało się, że skompromitowani swoją kollaboracją z okupantem przedstawiciele wielkiego kapitału zostali wyeliminowani z życia politycznego kraju. Okazało się jednak, że są oni dużo zrzęczniejsi niż przypuszczaliśmy. Część z nich w porę zeszła z widowni politycznej, usunęła się w cień, inni zostali umieszczeni w „londyńskim ruchu oporu”, by zabezpieczyć obecnie powrót do steru, nawet tym, których uważaliśmy za definitywnie unieszkodliwionych. Oczywiście cała ta operacja odbyła się i miała możliwość sukcesu jedynie dzięki interwencji kapitału zagranicznego, szczególnie amerykańskiego. By utrzymać się obecnie

ANKIETA „WSI”

u władzy, ta mała grupka wielko-kapitalistyczna wasalizuje się coraz bardziej wobec Wall-Street'u. Plan Marshalla został zamaskowany przez wszystkich. Nawet prasa i koła reakcyjne, zmuszone są przyznać, że ma on charakter militarystyczny i jego celem zasadniczym jest uratowanie zagrożonej kryzysem ekonomiki amerykańskiej. Mało obchodzi jednak naszych „rządców”, że ratując chwilowo Amerykę, przyspieszają kryzys we Francji, że rujną wcięż szersze kręgi ludności. Ich strach przed swym narodem jest tak wielki, że gotowi są na wszelkie ustępstwa wobec swych protektorów. Ale konsekwencje tej nieszczernej polityki nie dają czekać na siebie. Coraz więcej zakładów przemysłowych likwiduje swą produkcję, gdyż na rynku ukazują się towary „Made in USA”. Bezrobocie, podobnie jak we Włoszech i Belgii, wzrasta też bezustannie we Francji. Wszystkie warstwy społeczne są dziś ofiarami tej prawdziwej kolonizacji amerykańskiej. Pytacie mnie, jaką jest sytuacja intelektualistów i wolnych zawodów? Jesteśmy zależni w przeważającej

cały ciężar skarbu państwa. Mogę sobie pozwolić na stwierdzenie, że mały przemysłowiec lub kupiec może istnieć tylko skrywając swe prawdziwe zyski i obroty przed skarbem państwa. Nie powiedziałbym tego francuskiemu dziennikarzowi, bo miałbym jutro inspektora finansowego u siebie, ale u Was ludzie wiedzą, jak idzie handel we Francji. Wielkie przedsiębiorstwa, różne spółki akcyjne (często fikcyjne) płacą mniej podatków niż my. Jakże widzę wyjście z obecnej sytuacji? Trzeba innej polityki. Podatkami należy obłożyć „wielkich”. Ludziom trzeba więcej płacić, by mogli kupować, jednym słowem trzeba podnieść stopę życiową pracujących, by zapewnić prosperitę wszystkim warstwom społecznym. W sprawie polityki zagranicznej to pochwałę się tym, że w plan Marshalla nie wierzyłem od pierwszej chwili. Jestem pacyfistą, przez sam fakt, że jestem ofiarą wojny”.

5) Gabriel Chevalier, rolnik z Vinay (Isère), członek ruchu oporu w Maquis des Alpes.



Afisz artysty Fougersona z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet 6 marca. (Manifestacja kobiet w Paryżu została zakazana przez prefekturę policji).

mierze od poziomu życiowego tych, którzy są, lub przynajmniej powinni być naszymi klientami. Dodajmy do tego ogromne trudności wydawnicze i zreasumujmy: wolne zawody i intelektualiści w rezultacie zubożenia ludności znajdują się w ciężkiej sytuacji, ich stopa życiowa bardzo się obniżyła. Czy możemy być obojętni wobec aktualnej sytuacji w kraju? Oczywiście nie. Nic więc dziwnego, że prawie wszyscy intelektualiści określili swoje pozycje. Część, znaczna mniejszość, zaakceptowała, mniej lub więcej świadomie, służbę w obronie istniejącego porządku. Ten fakt nie jest do ukrycia, lecz jest on zrozumiały z powodu przesądów klasowych i strachu przed „motłochem”, przed wszystkim nowym. Lecz znaczna większość intelektualistów, choć o różnych, odcieniach poglądowych, walczą o inny układ społeczny, który zapewni wszystkim normalne warunki życia i twórczości, dzięki pracy w spokoju. O kwestii pokoju nie wolno nam przecież zapominać. Wzmagające się wydatki wojskowe, udział w planach atlantyckich itd., niepokoją nas coraz bardziej. I ten pacyfizm „działający”, walka o pokój, jest jednym z głównych elementów, wiążących intelektualistów z masami ludowymi przeciwko rządowi dzisiejszemu i podlegaczom wojennym, którzy są jego mistrzami.

4) Guy Ramillon, drobny przemysłowiec i kupiec, właściciel fabryczki koszuł i sklepu galanterijnego, były kombatan F. F. L., inwalida wojenny.

„Jeszcze w czasach III Republiki utarło się u nas pojęcie, że przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy są warstwami uprzywilejowanymi w społeczeństwie. Często to twierdzenie dawało, lub daje się jeszcze umotywić pozorami zewnętrznymi jak naprzykład warunkami mieszkaniowymi, stopą życiową itd. Trzeba zresztą przyznać, że liczni przemysłowcy i kupcy sami są przekonani o słuszności tej bezsensownej konwencji. W dobie obecnej rzeczywistość mówi o czymś zupełnie innym. Owszem, wielu przemysłowcy (les gros) grają rolę dominującą w społeczeństwie, ale my, mali, jesteśmy w zupełności innym położeniu, nasza rola jest zdeterminowana niezależnie od naszej woli. (Przyp. red.: Pan Ramillon nie używa słowa „kapitał”, lecz zawsze „les gros” — wielcy). Lecz wróćmy do rzeczy, moim zadaniem jest odpowiedzieć na pytanie konkretne o sytuacji w kraju a nie rozważania z zakresu politycznej ekonomii. W mojej branży jest źle. Przyczyną są dwie: primo: brak popytu, nie ma kupców, ludzie nie mają pieniędzy i nie kupują; secundo: nadmierne podatki. To my, „klasy średnie”, nosimy na sobie

trustów, która nie może istnieć nie grzebiąc swych konkurentów, nie praktykując systematycznie dumpingu. Rząd ze swojej strony stara się zniszczyć prasę niezależną i niewygodną dla niego, podwyższając ceny papieru, transportu, stosując kary pieniężne za każdą nieprzychylną informację. Pozwala on na inwazję tanich publikacji amerykańskich, składających się z artykułów już raz opublikowanych, a więc zamortyzowanych (New York Herald Tribune).

Zgnilizna panoszy się w naszej prasie. Znowu wychodzą dzienniki i tygodniki półpornograficzne, półsensacyjne, które schlebają najniższym instynktom czytelników. Bezrobocie, zgnilizna, marshallizacja — oto smutny obraz naszej prasy.

Chciałbym powiedzieć kilka słów o naszej prasie demokratycznej. Są to dzienniki prowincjonalne (regionalne), które rozwinęły się od czasu wyzwolenia. Dobrze redagowane, szybkie — dzienniki te znacznie zwiększyły swój nakład w porównaniu z okresem przedwojennym. „Front National” (Front Narodowy) zrodzony w czasie walk o wyzwolenie kraju kontroluje dziś 13 takich dzienników, reprezentujących przeszło milion czytelników. Ich rozwój jest naszym sukcesem. Ta prasa postępuje stale rozszerza swój krąg działania, wychowuje swych czytelników i jej znaczenie wciąż wzrasta. Jedną z przyczyn naszego sukcesu jest konsekwentna propaganda w obronie pokoju i metodyczne demaskowanie podżegaczy wojennych, którą prowadzimy na łamach prasy „Front National”. Lud Francji nie chce wojny i dlatego darzy zaufaniem dziennikarzy broniących pokoju”.

7) Madame M. Thomas, dyrektor biblioteki departam. w Grenoble, łącznik Franc-Tireurs et Partisans Français w dep. Nord.

„Prasa i propaganda amerykańska chce nas przekonać o niebezpieczeństwie sowieckim i demokracji ludowych i jako „pomoc” proponuje nam dobroczynny plan Marshalla. Nasuwa mi się na myśl pewne porównanie. W 1940 r. Hitler, po zajęciu Francji, wydał rozkaz swym żołnierzom, by zachowywali się „korektnie” wobec ludności. Rozklejono wszędzie afisze, które pokazywały żołnierza niemieckiego, trzymającego w ramionach dziecko francuskie, znalezione na drodze. Prasa kollaboracyjna, która demoralizowała już naszą opinię publiczną przed wojną, w tym smutnym okresie z jeszcze większym tupetem przekonywała nas o niebezpieczeństwie sowieckim i szlachetności nazistów. Gra nie warta była świeczki. Niemcy przekonali się o tym przy rekrutowaniu ochotników do V. F. (Legion Volontaire Française).

Ruch oporu pokazał im, że Francuzi nie są bynajmniej łatwowierni. Dziś sytuacja jest analogiczna. Szum czyniony wokół dobrodziejstwa wujka Sama dał niewielkie rezultaty. Wszyscy: robotnik czy inteligent, chłop, czy kupiec, zdają sobie sprawę, że Plan Marshalla jest nieszczęściem Francji i co najważniejsze jest to plan wojny. Jestem przekonana, że impreza amerykańska z pseudodobrodziejstwem zakończy się takim samym krachem, jak niemiecka z afiszem w 1940 r. Naszym hasłem naczelnym i odpowiedzią kobiet francuskich na przygotowania do pochodu krzyżowego jest: „Matki francuskie nie dadzą swych synów na wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu”.

8) Marcel Prenant, profesor Sorbony.

„Moim zdaniem Francja idzie pełną parą ku kryzysowi. Zarysowuje się on coraz wyraźniej i rozpoczyna w sposób jak najbardziej klasyczny. Bezrobocie rozszerza się już dziś, gwałtowny spadek cen artykułów rolniczych, obniżka płac itd. Nie potrzebuję chyba rozpisywać się, co oznacza kryzys. To jedno słowo charakteryzuje najlepiej sytuację ekonomiczną i społeczną Francji. Położenie Uniwersytetów i pracowników nauki odpowiada sytuacji wewnętrznej Francji. Brak instytucjom naukowym kredytów, których ministerstwo oświaty udziela niechętnie. Nasze warunki materialne i moralne są trudne. Dwa razy w ciągu 1948 roku nie miałem ani grosza w kasie laboratorium i musiałem po prostu walczyć o subwencję, zresztą bardzo skromną. A warunki moralne. W roku 1946 mój przyjaciel, Fryderyk Joliot-Curie, zwierzył mi się, że musi być coraz bardziej ostrożny z każdym słowem, z każdą wypowiedzią, by nie stać się ofiarą podejrzeń najbardziej nonsensownych i fantastycznych. Sądziłem, że Joliot-Curie przesadza. Dziś, proszę mi wierzyć na słowo, przekonałem się, na ile miał on rację. Wszystkie te objawy dławienia nauki i myśli francuskiej są rezultatem polityki kapitulacyjnej naszego rządu wobec imperialistów amerykańskich.

Nigdy w historii Francji nie mieliśmy w czasie pokoju sztabów militarnych mocarstw obcych na naszym terytorium. Moja niedawna podróż do Algieru przekonała mnie jeszcze bardziej o ingerencji amerykańskiej politycznej i terytorialnej.

Nie macie co do tego chyba wątpliwości, skoro jesteście już dwa lata we Francji. Uważam, że nasza walka o odzyskanie niezależności jest jednocześnie walką o pokój”.

Zebrał wypowiedzi Karol Keves

Przypominamy
o wpłaceniu zaległej
prenumeraty
Administracja

Tadeusz Orlewicz

Położenie materialne proletariatu angielskiego

Na aktualną sytuację gospodarczą Anglii składa się cały zespół tych czynników, które charakteryzują w ostry sposób fazę gnijącego imperializmu. Wraz z zaostreniem walki o rynki zbytu, o źródła surowców, o nowy podział świata, sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa W. Brytanii traci perspektywę na pomyślną stabilizację.

Ekspansja USA, kierowana przez wielki kapitał północno-amerykański, likwiduje szereg interesów Anglii poza wyspą wielkobrytyjską. Dyktat amerykański ukryty pod nazwą planu Marshalla kładzie jednocześnie coraz głębszy cień na życie synów Albionu, którzy w podstawowej swej masie — proletariatu miast i wsi — przeżywiają wzmagający się wyzysk sił roboczych i, związane z tym wyzyskiem, stopniowe obniżanie się poziomu stopy życiowej.

Sytuację angielskiej klasy robotniczej pogarsza fakt, iż poza partią komunistyczną nie ma ona w istocie żadnej siły realnej, budującej szczerą i istotną obronę interesów robotniczych. Wprawdzie w łonie Labour Party istnieją również poważne ośrodki o orientacji wyraźnie komunistycznej i jednolitofrontowej, niemniej jednak kierownictwo partii pozostaje nadal w rękach tych, którzy patronują bez skrupułów panowaniu monopolistycznego kapitału. W ich rękach znajdują się rządy W. Brytanii, oni też w praktyce wykazują absolutną uległość imperializmowi anglo-amerykańskiemu, zapewniając głoszone przez premiera Attlee „dobre warunki życia” wyłącznie klasom eksploatacyjnym.

Premier Attlee przy okazji proklamowania nowego rzekomo „socjalizmu demokratycznego” oświadczył, iż w Anglii „istnieją dobre warunki życia dla każdego człowieka”.

W tym samym mniej więcej czasie Harry Pollitt na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Anglii dokonał demaskującego „socjalizmu demokratycznego” obliczenia. Oto zwykła cena na artykuły pierwszej potrzeby wyniosła w sumie co najmniej 300 milionów funtów szterlingów. W tym samym czasie wysokość funduszu płac podniosła się zaledwie o 78 milionów funtów szterlingów. Zestawienie to wykazuje z jednej strony, iż wzrost drożyzny nie może być wynikiem podwyższenia płacy zarobkowej, jak to stara się zasugerować część prasy angielskiej, z drugiej zaś strony udowadnia, iż inflacja, jaką niewątpliwie Anglia przeżywa (bowiem siła nabywcza funta szterlinga w dniu 31. 12. 1947 r. stanowiła zaledwie 60% siły nabywczej z roku 1938) jest jedną z głównych przyczyn spadku siły nabywczej klasy robotniczej, jednocześnie jest źródłem niepomniejszonego wzbogacania kapitalistów.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej ustały okoliczności wpływające na wzrost możliwości zarobkowych dla robotników. Poważna ich część przeszła z zatrudnienia w przemyśle produkującym bezpośrednio na potrzeby wojny, do zakładów pracy, gdzie poziom płacy był najniższy. Praca w godzinach nadliczbowych została zlikwidowana, a taryfy za pracę akordową obniżono. Stąd też średni zarobek tygodniowy Anglika pracującego zmniejszył się do 114 szylingów 4 pensów, a więc o 7 szylingów. Obniżka dla młodocianych wyniosła przeciętnie 9 szylingów. O ile w styczniu 1945 roku pracownicy państwowych zakładów przemysłowych zarabiali 128 szylingów, to w styczniu 1946 roku już tylko 109 szylingów. W przemyśle budowy maszyn wynagrodzenie obniżono ze 125 do 116 szylingów, a w zakładach zbrojeniowych — ze 131 do 126 szylingów. Plan Crippsa, forsujący eksport towarów angielskich, wprowadził w roku 1947 jeszcze niższe stawki płacy w tych gałęziach przemysłu, których produkcja nie była związana z eksportem.

Trzeba dodać, że robotnicy na kolejach mieli 92,5 szylingów minimalnej płacy tygodniowej, przemysłu budowy maszyn 86, a robotnicy naziemni w kopalniach węgla 100 szylingów. Kobiety nie otrzymują więcej od połowy średniego zarobku mężczyzn. W konsekwencji minimum realnego zarobku było w olbrzymiej większości przypadków znacznie niższe od ustalonego wyżej na 132—140 szylingów minimum tygodniowych kosztów utrzymania przeciętnej rodziny robotniczej. Spośród wyliczonych przez nas grup robotniczych żadna nie miała gwarancji utrzymania równowagi budżetu robotniczego w perspektywach zarobku za pracę.

Realną wartość płacy obniża dalej nieustanne opodatkowanie pracujących. Podatki bezpośrednie przed wojną stanowiły 3,1% ogólnego funduszu płac, a w roku 1946 już 9%. Oznacza to trzykrotnie wyższe obciążenie obywatelstwa podatkowym światem pracy. Jednocześnie w roku 1944 opodatkowanie dochodu klas posiadających wyniosło 23%. W trzy lata później stopę podatku z tego tytułu obniżono do 8,5%; oznacza to trzykrotne zmniejszenie opodatkowania kapitalistów. A więc uprzednio kapitalista od każdego zarobionych 100 funtów płacił 23 funty podatku, w następstwie — 8,5 funta; robotnik — najpierw 3,1 funta, a następnie niemal 9 funtów. Jest to więc „wyrównanie” zgodne najprawdopodobniej tylko z zasadami „demokratycznego socjalizmu”.

A równocześnie o ile w latach 1939 i 1940 różnica w podrobień artykułów pierwszej potrzeby wynosiła tylko 2 punkty, to już w roku 1941 — 9 punktów, w roku następnym — 19, a w roku 1943 — 26 punktów.

Mniej więcej w połowie 1947 roku wskaźnik ruchu cen, opracowany w Ministerstwie Pracy, wykazywał wzrost 31 procentowy. W tym



Kryzys mieszkaniowy w Anglii. „Domy” robotnicze na peryferiach Londynu.

samym czasie „Economist” pisał o wzroście cen, sięgającym 65%.

W marcu 1948 r. oficjalnie ogłoszono sprawozdanie rządowe, odnoszące się do stopnia spożycia głównych artykułów. Ze sprawozdania tego wynika, że w porównaniu z okresem przedwojennym przeciętna konsumpcja obniżyła się w Anglii bardzo znacznie, głównie zaś spadło spożycie mięsa (39 proc.), cukru (30 proc.), tłuszczów roślinnych i zwierzęcych (29 proc.) na głowę ludności wielkobrytyjskiej. Uwzględniając olbrzymie dysproporcje, charakterystyczne dla krajów kapitalistycznych, można sobie wyobrazić, jak bardzo nisko musi się kształtować rzeczywista dieta dzienna klasy robotniczej, zwłaszcza jej grup nisko płatnych i bezrobotnych, kiedy przeciętna kaloryczność diety dziennej jest niższa co najmniej o 22% od normy przedwojennej.

Szczupłe normy spożycia okresu wojennego po wojnie zostały jeszcze bardziej zmniejszone. W okresie wojny spożycie chleba nie było racjonowane, lecz po wojnie wprowadzone zostały kartki chlebowe i spożycie chleba przez długi okres czasu było racjonowane. Jesienią 1947 r. przeprowadzono nowe wydatne zmniejszenie norm wydawanych produktów żywnościowych. We wrześniu 1947 r. dodatkowo zmniejszono przydział mięsa do 350 g na tydzień. 15 października 1947 r. normę mleka obniżono o 25%. Wprowadzenie w listopadzie 1947 r. racjonowania ziemniaków (norma — 3 funty tygodniowo) wg obliczenia prasy doprowadziło do zmniejszenia konsumpcji ziemniaków do 75% w rodzinach nisko płatnych robotników i urzędników. W ślad za tym ogłoszono zmniejszenie norm masła i cukru, przy czym cena cukru podniosła się o 66%.

Podobnie wygląda sytuacja na odcinku konsumpcji artykułów przemysłowych. Wg oficjalnego obliczenia wydatki na odzież w roku 1947 skurczyły się o 16%, a na przedmioty domowego użytku od 19 do 23% w stosunku do roku 1938.

Do trudnych warunków aprowizacyjnych, których kresu mimo wielu prób nie widać przy stosowaniu starych metod, narzuconych przez stary system, dołączyć wypada pogłębiający się kryzys mieszkaniowy. Szeroko zakrojony plan budownictwa mieszkaniowego, zamieszczony w przedwyborczym programie Labour Party, nie został w drobnej nawet mierze wykonany, i w dalszym ciągu miliony w wielkich ośrodkach przemysłowych — żyją w warunkach mieszkaniowych, urągających elementarnym postulatowi zdrowotności. Z oficjalnych źródeł podają zresztą, że 44% domów nie posiada w ogóle wody bieżącej. Mieszkania robotnicze mają inne, bardziej zasadnicze mankamenty, przy czym czynsz komorniany należy do jednego z najwyższych w Europie.

Na całość obrazującą sytuację klasy robotniczej, ma znakomity wreszcie wpływ zagadnienie płacy za pracę kobiet. Wbrew elementarnej tezie demokratycznej o równej płacy za tę samą pracę, wynagrodzenie angielskiej kobiety pracującej kształtuje się znacznie niższe od wynagrodzenia mężczyzny. Tania praca kobiet jest jednym z ważnych instrumentów wyzysku kapitalistów, którzy wykorzystują ciężką sytuację materialną klasy robotniczej dla sankcjonowania paradoksalnej różnicy w płacy mężczyzn i kobiet. Te ostatnie w szeregu

nu zatrudnienia. Oficjalnie podają, że w latach 1945 — 1947 liczba osób zatrudnionych ogółem zmniejszyła się o 1.363.000. Odzywają w Anglii tzw. „rejon depresji”, które rozrosły się silnie w okresie międzywojennym, zamieniając niektóre centra przemysłowe w martwe miasta o przeważającym odsetku bezrobotnych. Aczkolwiek mowa jest obecnie o „rejonach rozwoju”, to jednak praktycznie odrodzenie przemysłu angielskiego hamowane jest imperialistyczną polityką W. Brytanii w Europie i Azji. Jako jeden z przykładów podaje się, że utrzymanie angielskich wojsk okupacyjnych kosztowało Anglię w latach 1944—1946 około 113 milionów funtów szterlingów, a więc znacznie więcej, niż prelinowano na rozbudowę przemysłu w Południowej Walii. W wyniku w samym tylko styczniu 1948 r. anulowano kilkanaście uprawnień na budowę nowych przedsiębiorstw w tym okręgu, a 100 tysięcy bezrobotnych ruszyło w poszukiwaniu pracy do innych rejonów.

Opracowane zgodnie z planem Marshalla projekty rządowe idą w kierunku dalszego obniżenia wydatków na budownictwo przemysłowe i mieszkaniowe oraz na skurczenie angielskiego budownictwa okrętowego i innych niektórych gałęzi przemysłu. Oznacza to, że nowym grupom świata pracy grozi bezrobocie, tymbardziej że stan wyposażenia technicznego przemysłu nie jest zadowalający i wymaga modernizacji. Warto przypomnieć, iż zdaniem „Daily Worker” (lipiec 1948 r.) — 40% budżetu brytyjskiego przeznaczone jest na wydatki wojskowe.

Jasną jest rzeczą, że chodzi tu o to, aby, jak twierdzą kapitaliści — wiadomy procent bezrobotnych był „życiowo niezbędny dla manewrowej sprężystości produkcji”. Ta manewrowa sprężystość produkcji to nic innego jak żerowanie na wyżysku robotnika, to pretekst do obniżania płac, to metoda zdobywania taniej i uległej siły roboczej.

W latach 1945 — 1947 ogólny fundusz płac wzrósł o 16%, czysty dochód kapitalistów o 39 proc., w roku 1947 fundusz płac zwykował — wg danych oficjalnych — o 5%, dochód kapitalistów — o 24 proc. W roku 1947 dochody angielskich towarzystw akcyjnych przekroczyły o 30% maksymalny poziom dochodów z okresu wojny.

Wg danych oficjalnych w okresie np. maja i czerwca 1948 roku wskaźnik cen na artykuły żywnościowe wzrósł o 12 proc., komorne co najmniej o 10 proc. Jednocześnie „Economist” podaje, że zyski kapitalistów w pierwszej połowie 1948 roku wzrosły w porównaniu z rokiem 1945 o 150 procent.

Toteż walka klasy robotniczej rozwija się. Idzie coraz szersza akcja strajkowa. W ciągu sześciu miesięcy 1948 roku w Anglii miało miejsce 1 000 strajków. W strajkach tych brało udział 800 000 robotników, a ilość straconych dni roboczych oblicza się na 1 500 000. W strajkach, w popieraniu obozu postępu, walczącego o pokój i sprawiedliwość, rysuje się coraz mocniejsze nasilenie w Anglii walki klasowej z kapitalizmem i zakłamaniem Labour Party.



Sierota z londyńskiego przedmieścia robotniczego.

Jan Baculewski

INTELIGENCJA TECHNICZNA



Uczniowie

Kult nauki i doświadczenia, uprawiany przez pozytywistów, mimo całej swojej empirycznej i materialistycznej mocy był wyrazem postawy idealistycznej. Wyznaczała ona wiedzę i technice samodzielną rolę twórczą w przekształcaniu stosunków społecznych, licząc, iż rozwój wiedzy sam przez się przyniesie konieczne zmiany we współżyciu ludzi i zapobiegnie powszechnej anarchii społecznej. Stawiali pozytywści głównie na produkcję materialną i spodziewali się od techniki rozpowszechnienia wytworów fabrycznych. Byli to nadzieje uzasadnione. Zarówno bowiem nauka jak i technika rozwijały się i przekraczały stadia odkryć i zastosowań skokami rewolucyjnymi. Gdy jednak kapitalizm minął siódmy i ósmy dziesięć lat dziewiętnastego stulecia, okazało się, że postęp wiedzy i wynalazki techniczne nie wywierają kojącego wpływu na wrzenia społeczne. Trzeba było uwierzyć w autonomię nauki i strzec ją przed wyłącznie utylitarną uprawą. Związek teorii z praktyką nie udał się i wielkie hasło filozofii pozytywnej „savoir pour prévoir” zostało złożone do grobu nazajutrz po śmierci swego mistrza. Charakterystyczne, iż poczynając od Augusta Comte'a, który w pewnej liczbie pojęć ogólnych widział drogę ładu powszechnego, poprzez Johna Stuarta Millę, upatrującego w ideach siły napędowe historii i Herberta Spencera, według którego uczucia rządzą światem, wywołując groźne dla powszechnego porządku antagonizmy moralne, a kończąc na naszym „Poście Prawdy” Aleksandra Świętochowskim, który oświadczył, że bytu narodowego szukał w rozwoju myśli — racjonalistycznej, empirycznej, materialistycznej pozytywści zamknięci byli w kregu filozofii idealistycznej, oświadczenia ich miały charakter pragmatystyczny, a zastosowania społeczne ograniczone do praktyki mieszczańskiej i potrzeb gospodarki i techniki kapitalistycznej^{*)}.

Stąd pochodzą bezdroża, na które zesłała inteligencja szlachecko-mieszczańska pozytywizmu. W początkowym okresie rozwoju kapitalistycznego stanowiła ona rewolucyjną ogniskę myśli antyfeudalnej i antyklerykalnej. Brała zdecydowanie w obronę uwłaszczonego chłopca i wykazywała sympatie dla stanu czwartego. Ale w chaos, który powodował rozwój kapitalizmu, nie potrafiła wnieść ani krytyki z pozycji drobnomieszczańskiej filozofii społecznej a la Proudhon, ani analizy utopistycznej w duchu Saint-Simona.

Stąd, gdy w latach 80 opadły wszelkie złudzenia co do narodowego i społecznego charakteru kapitalizmu, inteligencja popadła w popłoch i wobec rozwoju przemysłu i techniki zajęła postawę niemal identyczną z postawą robotników z pierwszych lat XIX w., kiedy ci, jak w Anglii, w maszynach przedsiębiorczych widzieli swego wroga, sprawcę nędzy i demolowali je. W sześćdziesiąt lat później podobnie zachowała się pozytywistyczna inteligencja, żądając w artykułach „Głosu” wstrzymania rozwoju przemysłu, techniki i miast. My, Słowianie lubim sieleńki...

II

Stoimy dziś przed dwoma zagadnieniami: dziedziczenia inteligentnej tradycji i odziedziczenia zadań inteligencji przez nowy jej podmiot społeczny, przez nowe klasy.

W sprawie pierwszej pisał Jerzy Borejsza w noworocznym numerze „Odrodzenia”:

„Uświadczano mechanicznie powiazać, przyćmiewano nas do pozytywizmu i tworzyć teorie antyromantyczne, a tym samym anty-

rewolucyjne jakiegokolwiek rzekomo pracy u podstaw, wypranej z walki klasowej. Jeżeli przejmujemy elementy pozytywizmu, jego kult nauki i walkę o postęp... to jednak odrzucamy jego oportunistyczną, mieszczańską i filisterską treść ideologiczną”.

Oczywiście, inteligencja pozytywistyczna stała na uboczu ruchu robotniczego, w ruchach ludowych zaś odgrywała w większości fałszywą rolę kapłana ludodomaństwa. Nie miała zrozumienia dla żadnego z obu nurtów dążenia do wyzwolenia mas ludowych. Ale też była wówczas w życiu zbiorowym polskiego społeczeństwa rezultatem rozpadu warstwy szlacheckiej.

Do czego zmierzali pozytywści? Ich podstawowe hasła społeczne zapowiadały przewrót. Zdawało się im, że rozpędzają koło historii. Chcieli w kilku skokach dopędzić Europę Zachodnią, nadrobić zapóźnienie cywilizacyjne Polski, postawić ją w rzędzie postępów krajów Europy. Czym był dla nich postęp? Zapóźnionym echem liberalno-kapitalistycznego rozwoju. Pragnęli budować cywilizację w Polsce, zakładając przemysł, tworzyć własną narodową burżuazję. Z tych dążeń wyrosli bohaterowie pozytywistycznej publicystyki i powieści, rycerze przemysłu, inżynierowie, technicy i rzemieślnicy. Plenił się ich w literaturze warunkowały idee pozytywistyczne, urabiani byli przez postępowców i młodą prasę. Ale kto powoływał do rozlicznych funkcji techniczno-gospodarczych tę grupę inteligencji, która wówczas jak dziś, musiała podjąć się pracy produkcyjno-przemysłowej?

Pozornie odpowiedź jest łatwa. Rozwój kapitalizmu powodował rozwój sił wytwórczych. Inteligencja techniczna stawała na apel polskiego kapitalizmu. Heroldami jego byli pozytywści. Jakich zatem posiadali mocodawców? Jan Kott w artykułach o „Lale” wskazał ich. Byli to z jednej strony agrariusze w księżycowych mitach, obok nich zaś „kucpy galanteryjni”. Szanowna własność ziemiska nie zdolna jednak była zaspokoić rozwoju kapitalistycznego z powodu powiększenia osłabienia ekonomicznego. A sklepik drobnomieszczański, który oddał całą duszę kapitalizmowi, nie zaspokajał już wówczas dostatecznie jego potrzeb i dynamiki.

To nie byli właściwi promotorzy rozwoju kapitalistycznego w Polsce. Siły napędowe kapitalizmu wystąpiły poza krajem. I one zdecydowały o jego skokach i charakterze. Był on natury eksterytorialnej i półkolonialnej.

Stanisław Szczepanowski w „Nędzy Galicji w cyfrach” ukazuje eksploatorski charakter przemysłu galicyjskiego. Kapitalizm zagraniczny wydiera Polsce naftę, drzewo, sól, węgiel i inne surowce, a dzieje się to jednocześnie z walką o zdobycie terenów eksploatacji i rynków zbytu na Dalekim Wschodzie. Tam szło o wielkie imperialne kolonie, tu po drodze, niemal pod ręką, w Polsce, jak i gdzie indziej, tworzyły się drobne półkolonie, które służyły tym samym celom koncentracji kapitału, dlatego nie może on już w owym czasie zaspokajać wewnętrznych potrzeb narodowych tych krajów. Budowa polskiej cywilizacji wcale już nie znajduje się wtedy na drodze rozwoju kapitalizmu.

Pozytywści polscy nie zdawali sobie sprawy z tego, kto decydował o losach rozwoju polskiego kapitalizmu. Przypuszczali, że właśnie oni wraz ze swoimi plenipotentami i pozytywistyczną inteligencją. Nie stworzyli kapitalizmu, bo nie leżało to w ich nocy, stworzyli to, do czego jedynie byli zdolni: ideologię postępu burżuazyjnego i pozytywistyczną kulturę. Kultura ta była humanistyczna w tym znaczeniu, iż twórcami jej byli humaniści, pisarze, publicyści. Nie byli to bowiem nawet politycy, nie mieli żadnego

związku z bazą produkcyjną, oddzieleni od istotnych sił wytwórczych. Jeżeli jednak działalność ich przeszła obok kapitalizmu, nie stała się przyczyną jego rozwoju, wynikało to stąd, że związani byli z klasami posiadającymi. Formułowali prawa rozwoju kultury w ramach możliwości rozwojowych ziemianstwa i drobnomieszczaństwa. Gdy jednak działalność ich przeszła obok kapitalizmu, nie rodziła się bowiem z jego uformowanej bazy, gdy coraz dalsza stawała się jego celom, musiał powstawać konflikt między kulturą a kapitalizmem przesądzić los ich dalszej działalności. Zwycięża kapitalizm, powodując rozbięcie inteligencji pozytywistycznej i całkowity jej rozkład. Niezwiązana z decydującymi siłami produkcyjnymi, pozbawiona wpływu na rozwój społeczny, odcięta więc od najistotniejszych czynników tworzenia kultury, chroni się od tej klęski ucieczką do chłopskich i regionalistycznych koncepcji i popada w niepokój o dalsze losy kapitalistycznej cywilizacji.

Pozytywści przegrali swoją szansę historyczną i swój program. Nie mieli za sobą ani klas posiadających, ani klas nowych, walczących o posiadanie baz produkcyjnych. Służyli małym posiadaczom. Interesy mas ludowych nie objęte były ich programem. Nie dysponowali siłami napędowymi ani od strony posiadających bazy produkcyjne, ani od strony sił produkcyjnych. A postęp i kulturę tworzą siły posiadające i siły produkujące i one są źródłem twórczych koncepcji rozwojowych, one decydują o losie człowieka i jego społecznych funkcjach.

III

O nowej inteligencji mówił min. Minc na Kongresie Zjednoczenia: „Każda klasa produkująca miała swoją własną inteligencję, to też polska klasa robotnicza i polskie masy ludowe stworzą swoją własną inteligencję”.

„W ciągu czterech lat po wyzwoleniu wyrosła u nas znaczna warstwa klasy robotniczej, która ma wszystkie dane na przekształcenie się w inteligencję ludową. Są to robotnicy, wysunięci na stanowiska dyrektorów, wicedyrektorów, kierowników działów. Są to najbardziej doświadczeni, uświadomieni przodownicy pracy. Są to liczni wysoce wyspecjalizowani i kulturalni robotnicy.”

Brak im wykształcenia ogólnego i specjalnej wiedzy technicznej. Trzeba, żeby państwo ludowe w przyspieszonej, skróconej formie dało im to wykształcenie i wiedzę.

Trzeba znaczną część takich ludzi posłać na specjalną naukę, a na ich miejsce wysunąć nowych.

W ten sposób przyspieszone zostanie formowanie nowej, ludowej inteligencji, która wspólnie z tą częścią starej inteligencji, która chce i umie kroczyć nogą w nogę z życiem — stanie do wielkich zadań budownictwa socjalizmu w Polsce”. (Min. Minc w referacie na Kongresie Zjednoczenia).

Ludowe pochodzenie nowej inteligencji i jej rola, będąca rezultatem jej awansu społecznego, tkwi w samym centrum walki o przebudowę Polski Ludowej i budowy podstaw socjalizmu w Polsce.

Ale kiedy mówi się dziś o wielkich zadaniach polskiej inteligencji, wysuwa się na jej czoło ta grupa, która związana jest z rozbudową gospodarki narodowej.

Jasne jest bowiem i oczywiste, że inteligencja techniczna rozwija działalność gospodarczą, to znaczy — buduje materialne podstawy kultury polskiej.

W tym punkcie istnieje między nami a pozytywizmem analogia. Oczywiście, idzie nam o pracę u podstaw. Ale podmiotem tej pracy są masy ludowe, w których ręku spoczywa władza, z jej toną nie zrywając z nią związku wyraża jej inteligencja. I cel jest zgoła inny — socjalizm, nie jak w pozytywizmie — kapitalizm z poprawkami.

Bo choć dziś podobnie jak w okresie pozytywizmu głosimy hasła rozwoju, nauki, techniki i produkcji, głosimy je z tą jednak różnicą, iż realizujemy jednocześnie treść hasła. Dzieje się tak dlatego, że dyspozycje rozwojowe spoczywają w naszym ręku.

Baza surowców i narzędzi produkcji znajduje się w tych samych rękach, jakie reprezentują siły produkcyjne — w rękach klasy robotniczej i chłopstwa. Nacjonalizacja przemysłu i banków wyzwoliła nas od obcego i prywatnego kapitału. To, co „półkolonialnej” przeszłości kraju nagromadził inwazyjny kapitał i rodzimym, stało się dziś podstawą organizacji produkcji narodowej. Dopiero teraz zwać ją możemy narodową, bo tylko ze znaku równości między siłami posiadającymi i produkującymi wynika plan produkcji, jako plan mas narodu dla narodu, plan, wykluczający uzależnienie toku produkcji od spontanicznej nierównomierności i automatyzmu rozwojowego kapitalizmu. Dopiero teraz zwać ją możemy narodową, bo w treść jest socjalistyczna — znajduje się we władzy mas ludowych (posiadaniu) — powtarzam — i przez nie jest wytwarzana! „Humanisci” pozytywistyczni ludzi się, że to oni powołują do życia rozwój przemysłu, rozwój kapitalizmu. Godny podziwu jest oczywiście fakt uznania przez organiczników nowego typu inteligencji, właśnie technicznej. Godne podziwu zabiegi popularyzowania jej przez humanistów, ugruntowania kul-

tu, który stałby się podstawą ambiciozniejszego wzoru awansu społecznego. To wszystko możemy przyznać pozytywistom. Tu tkwią tradycje myśli inteligentnej, skupionej nad problematyką gospodarczą, jako od podstaw wydzwigającą i określającą kulturę. Ale na tym koniec. To nie humaniści pozytywistyczni wyczarowali przemysł i kapitalizm. Oni dawali odbicie tego procesu, który rozwijał się w oparciu o siły posiadające, a które działały przeciw siłom produkującym. Rozstrzygał centrum sił posiadających dla rozwoju i położenia kapitalizmu w kraju — okazało się, że działa z zewnątrz. Pozytywści zawisli w próżni. „Odbijanie” sił posiadających ziemianstwa i drobnomieszczaństwa w dziele przemysłu stawało się fałszem wobec rzeczywistości, traciło na znaczeniu. Humanistów pozytywistycznych zgubił nacisk rozwoju gospodarczego, zależnego od dyspozycji kapitału inwazyjnego. Wykończył brak związku z proletariatem (siłą produkującą).

W następnej, popożytywistycznej fali, kiedy inteligencja uciekała do regionalizmu, kiedy czyni z cywilizacji technicznej molocha, kiedy poddaje się plemiennemu mitowi nacjonalizmu i wówczas tworzy „odbicia” wpływu głównego toku procesów produkcyjnych i dysponujących nimi sił społecznych, ale tworzy te odbicia z pozycji warstwy — zepchniętej, znajdującej się w konflikcie z nową rzeczywistością, a nie umiejącej go sobie poprawnie wyjaśnić. Oczywiście, że uratować jej funkcję „inteligencji” mógł tylko związek z siłą produkującą, której konflikt z siłami posiadającymi zaostriżył się do perspektyw rewolucyjnych.

Krótko mówiąc, nigdy rola twórcza inteligencji nie wyrasta z niej samej. I dziś, kiedy chcemy określić rolę społeczną inteligencji, musimy w pierwszym rzędzie dokonać podstawowego rozróżnienia między inteligencją produkcyjną a inteligencją humanistyczną (artystyczną, naukową, oświatową, urzędniczą, wolnych zawodów itp.). Inteligencja techniczna wytwarza wraz z masami pracującymi towary materialne, a przez nie dochód narodowy, inteligencja humanistyczna działa na bazie konsumentów tego dochodu narodowego.

Stąd wynika nowa pozycja inteligencji technicznej. Nie jest ona, jak w okresie pozytywizmu, na usługach kapitalistycznych dysponentów rozwoju gospodarczego. Sama jest częścią składową dysponujących dziś sił. Sama jest jak najściślej związana z pracą produkcyjną. „Dlatego, żeby praca była produkcyjna — mówi Marks — nie ma konieczności przykładać swoich rąk do pracy. Wystarczy być organem kolektywnego robotnika i wypełniać jedną z jego funkcji”.

Ta nowa, powstająca inteligencja techniczna, jako część składowa sił produkcyjnych i sił władających będzie miała tym silniejszą moc kształtować oblicze całej polskiej inteligencji. Tworząc dochód narodowy współuczestniczy w jego rozdziale. Tworzy go wiedząc o nowym, socjalistycznym charakterze jego rozdziału. Można by powiedzieć, że tworzy go ze względu na jego własne nowe rozdział. Przenika w ten sposób od korzeni dóbr materialnych poprzez celowe ich krążenie do najdrobniejszych włókien życia jednostkowego i społecznego narodu. Inteligencja humanistyczna będzie stała przed zadaniem „odbicia” i wzmożenia tego nadania od produkcyjnego poczynając a na społeczno-kulturalnym kończąc. W nadaniu tym bowiem wyraża się nowy sens społeczno-kulturalny rozwoju produkcji i rozdziału z jej wytworów dochodu narodowego.

Reorganizacja Ministerstwa Przemysłu i Handlu na 6 nowych ministerstw jest oznaką, że weszliśmy na wielką falę socjalistycznego rozwoju przemysłu. Ze skromnych początków wyłaniają się ogromne procesy życia gospodarczego. Z dreptania na miejscu i wstrząsów kryzysowych wyzwoliliśmy się. Jesteśmy u końca planu 3-letniego i przed planem 6-letnim, który zmieni całokształt życia narodowego.

Dla realizacji tych zadań powstały właśnie nowe resorty gospodarcze. W ramach ich potrzeb tworzy się Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego. Będzie rosła i potężniała inteligencja techniczna. Będzie się przemieniała inteligencja polska. Jest to sygnał dla inteligencji humanistycznej.

W następnym numerze „Wiś” między innymi:

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI
NOWA HISTORIA LITERATURY

JOACHIMA LELEWELA
LISTY NIEZNANE

KONSTANTY GRZYBOWSKI
POLITYKA WOBEC NIEMIEC

PETR JILEMNICKY
FRAGMENT POWIEŚCI „WIATR POWRACA”

WŁADYSŁAW BŁACHUT
NIEZALEŻNA PARTIA CHŁOPIŃSKA

^{*)} Patrz: J. Baculewski: „Sentymalna edukacja... pozytywizmu” „Wiś” Nr 9.

Piotr Chmura

ETNOGRAFIZM W PAMIĘTNIKU



Wojciech Breowicz

Drukujemy poniżej pierwszy rozdział pamiętnika, który nadesłał do kraju Wojciech Breowicz z Brazylii, gdzie przebywa już 19 lat.

Przypominałem pół roku temu czytelnikom „Wiś” tego „ludowego”, jak sam się nazywa, pisarza. Syn (pośród siedmiorga rodzeństwa) małorolnego, zostaje nauczycielem wiejskim, w 1933 r. współzakłada „Wiś i jej pieśń”, szczerzy przez policję, zrozpaczony wyjeżdża za ocean, śladem niegdyś wędrówek ojca i wuja. W Brazylii... również uczy dzieci chłopskich emigrantów w puszcach Parany. Nadanie w pisarstwo a szerzej nawet w kulturę odebrał z kręgów galicyjskiego TSL, Macieja, patronactwa oświatowego Narodowej Demokracji*). Równolegle rozwijała się w nim wrażliwość na krzywdę społeczną, rósł radykalizm. Jako pisarz był jednak i pozostał spełniony tamtym wychowaniem literackim, tamtym rozumieniem historii i kultury. Wyjazd do Brazylii cofnął go w stosunki społeczne o dysproporcjach, jakich nie oglądał nawet w kraju. Na jednym biegunie (na wybrzeżu) — najwyższe formy kapitalizmu, na drugim („Interior” puszcz brazylijskich) — niemal średniowiecze.

*) Patrz: P. Chmura: „Wojciech Breowicz”, „Wiś” — 25/48 r.

Wojciech Breowicz

Rodzina wieś Osobnica jest wielką gminą i parafią, leżącą na podgórze karpackim w powiecie jasielskim, w odległości od 7-mi (na północy) do 15-tu km (na południu) na południowy zachód od Jasła, przecięta do południa ku północy — wstęgą niewielkiej rzeki Bednarki, która uchodzi do dużej rzeki Ropy. Na wschód i zachód od koryta rzeki przechodzą tereny w rozległy, lekko falisty płaskowyż. Wieś zabudowana jest nad rzeką — tyły zajmują uprawne pola i lasy. Centralne, po prawym brzegu rzeki wznoszące się wzgórza, zajmują kościoły i szkoła. Połowa wsi, od kościoła na południe nazywa się „Góra”, na północ zaś — „Dół”.

Osobnica była z dawien dawna królewską i pierwotnie zwana się Osownica. Została założona na prawie magdeburskim przez Kazimierza Wielkiego, który aktem z dnia 30.9.1348 r. osadza tu Jana Tynara na 110 łanach niemieckich — i nadaje mu sołtysostwo wsi.

W Osobnicy istniał bardzo stary, drewniany kościółek, w którym ja jeszcze brałem chrzest. Powiadano o nim, że liczył przeszło 500 lat. Kronika diecezjalna przemyska wspomina, że ten kościół drewniany (modrzewiowy), nie wiadomo kiedy wybudowany, został poświęcony pod wezwaniem św. Stanisława w 1512 r.

Osobnica, na równi z bliską i daleką okolicą nawiedzana była w ciągu wieków przez liczne „zarazy”, przez jakieś groźne i śmiertelne epidemie, których pamięć przetrwała do dnia dzisiejszego w umysłowości mieszkańców. Szczególnie obfite żniwo zebrały epidemie w 1588 i 1875 r. Była to straszliwa cholera, po której przechowywał się dotąd trzy cmentarze — zwane „cholernymi”. Starzy wspominali również o czarnej ospie i „trzęsaczce”, czyli złościowej zimnicy.

Krajaży po wsi stara opowieść o straszliwej powodzi, która miała miejsce gdzieś w czasach pra-pradziadów. Z całej wsi miało

Pamiętnik ma ambicje pisarskie. Rozdział pierwszy przedstawia okres dzieciństwa w rodzinnej wsi galicyjskiej, Osobnicy. Wspomina je emigrant. Przeszedł w życiu tyle zawodów i rozczarowań, że jak można się domyślać, jedyny okres, jaki zdecydowałby się opromienić, to — dzieciństwo. Wydaje mi się, że i w tym popełnił błąd, uległ złudzeniu. „Raj utracony” dzieciństwa nie był rajem. Prawda leżąca u podstaw losu Breowicza, to prawda jego dzieciństwa. Autor cofnął się przed wypowiedzeniem prawdy, przed odkryciem jej. Zawrócił w „zacisze”, przez co wcale nie wspomógł się w walce, którą przez wiele lat, a pewnie i dzisiaj jeszcze, prowadzi nadal po omacku. Nie przejaśnił sam sobie sensu walki społecznej i zaciemnia ją czytelnikom.

Niedawno drukowaliśmy pamiętnik dzieciństwa St. Orła. Podkreślaliśmy jego wartości artystyczne. Osiągnięte one zostały dzięki temu, że narrator (oczami dziecka) ogląda i uczestniczy w klasowych stosunkach na wsi.

Breowicz „ładność” pisarską zamierzył inaczej — przez wydobycie „ładności” wsi, widzianej w systemie ETNOGRAFIZMU. Umieścił pierwszy rozdział pamiętnika na linii monografii wsi, jakie znamy od Bujaka do P. Zawistowicz. W ten sposób również jego dzieciństwo przestało być „prywatne”. Monografia wsi zyskała znamiona ilustracji epoki. Ale jest to złudna ilustracja. Etnograficzny chwyt zgubił czas, zgubił prawdę historyczną o wsi Osobnicy, o wsiach z pierwszych dzieścioleci XX w.

Od Kolberga poczynając, etnografowie podejmują w towarzystwach „Wiś” i „Ludu” zbieranie zapisów pieśni, legend i bajek, gromadzą eksponaty innych rodzajów sztuki ludowej, odrysowują plany budownictwa, inwentaryzują stroje i przekazy obyczajów rodzimych. Wskazują w ten sposób, co w życiu wsi, choć zanika, było i jest jeszcze „ładne”, „interesujące”, „zadziwiające”. Breowicz w te właśnie elementy wyposaża dom rodzinny i wieś dzieciństwa. Ładne, dostojne, albo „dziwne” objawy życia wsi mają posłużyć jako chwyt dla uartystycznienia pamiętnika.

Czytelnik dowiadyuje się, że Osobnica to

stara wieś (założona w 1348 r.). Przeglądając karty kilku wieków (ten ustęp opuściliśmy) wiśni, owiany historią, nastroić się podniósł. Został z dawnych czasów kościółek, gdzie chrzest odbierał autor pamiętnika. Wieś „od pamiętnika” — jak twierdzi Breowicz — jest autochtoniczna, nie przyjmowała bowiem nikogo z zewnątrz. Minione wieki żyją zatem w niej współcześnie. A ludzie, współcześni okresowi jego dzieciństwa, żyli tradycjami „potopu” w okolicy, strasznych epidemii, wierzeń o planetnikach itp. Wszyscy byli z sobą spokrewnieni. Wieś żyła w fanatycznej religijności, w kręgu wspaniałych uroczystości rodzinnych, na codzień w zbożnej zgodności w domu, matka przy kądzieli, ojciec „na przypiecku”, z fajką i gawędą na ustach. Obrazu tego dopełnia opis domostwa w stylu „Pana Tadeusza”, przełożonego na chłopski porządek: Dom kryty słomą, ławy, piec, obrazy świętych. Żarna w sieni. W komorze sąsiadki na zboże, skrzynia „stolarska”. Na boisku w stodole łgrzmot cepów, czyszczenie ziarna „siedlaczka”, przetakami i rzeszotem.

Taki jest główny tok wspomnień dzieciństwa. On miał nadać powab pamiętnikowi, uczynić go dziełem pisarza. Ale za tę cenę wypłoszona została rzeczywistość, prawda o dziejach rodziny Breowicza, o społecznym dramacie wsi. Z resztek tej prawdy, jaka z poza głównego nurtu pamiętnika nieśmiało się wychyla, można co najmniej uformować kilka zasadniczych pytań, jeśli już nie zrekonstruować ówczesnej rzeczywistości społecznej. Dziadek z linii matki miał 16 mórg. A ile wniosła matka Breowicza? — Mórge. Dziadek z linii ojca również miał znaczne gospodarstwo. A już jego syn jeden i drugi jechał do Ameryki. Ojciec Breowicza nie odziedziczył ani skrawka ziemi. Z dorobku wykupił z mórgei ojcowizny od rodziny. Po latach tułaczki w Ameryce wziął w dzierżawę z mórgei (od żony takiego, co z Ameryki nie wracał od lat). Breowicz był najstarszym z siedmiorga rodzeństwa. Jak los szykował się takim dzieciom na 2,5 ha? (5 mórg). A przecież pisze o tamtych latach, że „wesela sprawiano huczne, tłuste i pijane... chrzciny również”, że w wigilię Bożego Narodzenia pukano w okna, odprawiano uroczyste obrzędy z dawien dawna przechowywane. Któż to więc wesele tłuste i huczne sprawiał, kto pilnował rytuału obrzędu wigilijnego? Wydaje się,

jakby CAŁA WIEŚ. A tymczasem w Nowy Rok ubożsi chłopcy chodzili po gospodarzach, składali wierszowane życzenia aby... otrzymać „draba” tj. niewielki bochenek chleba i kawał kielbasy. „Nazywano ich — dodaje Breowicz — drabami i straszono nimi dzieci”. Ci chyba hucznych wesel i obrzędów gospodarskich nie przestrzegali! A do jakiejże kategorii zaliczał się wówczas młody Breowicz? W komorze stały sąsiadki („tak często puste”), masła nigdy nie jadał. Więc jak? Chodził z kołędnikami, czy nie? Jeśli nie chodził to znaczy, że rodzina „ociupinę” była wyżej, nie honor było jej wysyłać dzieci. A zatem, jakże wyglądała wieś społecznie, klasowo? W jakiejże pozycji była rodzina Breowiczów? Jakież ustrój, jakie kondygnacje społeczne oglądał młody Wojciech? Jakie sobie POWINIEN BYŁ PRZYPOMNIEĆ DZISIAJ WOJCIECH, który sam ma już dorosłego syna?

Dziadek krył u siebie kiedyś ks. Stojanowskiego, w rodzinie były kalendarze, „Wieniec”, „Cepy”. Ojciec, analfabeta, ze świata przyniósł nowe wieści, w rodzinie żyła tradycja zamyśleń o zmianie losu chłopskiego. O tym wszystkim ledwie napomyka Breowicz. Ten nurt relacji został i musiał zostać stłamszony przez ETNOGRAFIZM, który wywodzi się z ludomaniństwa „romantycznego” Breowicz wyprocedował swoją sylwetkę chłopca, który żyje oczarowany (jak poeta — Pięta) krajobrazem, podgląda z okienka burzliwe, piorunowe noce — potęgę natury. A kiedy ojciec na pierwszej światowej wojnie, „bawi się w gospodarza”, zbiera biblioteczka (500 tomów) i czeka na dalszą pomoc nauczyciela, dzięki której „wyszedł już z Osobnicy zastęp ludzi ZE ŚREDNIM I UNIWERSYTECKIM WYKSZTAŁCENIEM”.

Wyszedł, wyszedł, wyszedł... Tę drogę odbył i Breowicz. WYSZEDŁ! Wracał później już tylko po jednej drodze: mglistej ludowości, po drodze etnograficznych uroków „jednolitej wsi”. I taką ją dziś z oceanu przypomina. W dobrej wierze a w złych skutkach dla siebie, wciąż „niewidomego” i dla czytelnika, którego zwraca do mitologii reymontowskiej, któremu utrudnia wydobycie się z tego wielkiego, pół wieku rozwijanego zafaszowania kulturowego, a co za tym idzie — politycznego wsi polskiej.

P A M I Ę T N I K

się zachować zaledwie kilka domów, stojących na najwyższych wzgórzach. Jest żywa również tradycja o latach potwornego głodu, o żywieniu się trawą, korzonkami i perzem — „bo ledwie na Gody i Wielkanoc dało się przechować garść drobnych ziemniaków”.

Niektórzy Osobniczanie, zabrani przez okolicznych chłopów, brali udział w rebelii 1846 r.

Osobnica liczy około 3500 mieszkańców — na 2470 ha, w tym około 150 ha lasu.

Ludność Osobnicy „od pamiętnika” nie przyjmowała elementu napływowego, jest więc poniekąd grupą typowo autochtoniczną, od rdzenia „osobnicką”, posiadającą nawet własną — odmienną od okolicznej — gwara twardej mazurowszczyzny, przy tym składa się z kilkudziesięciu wielkich i starych rodzin.

Poszczególne rodziny powiązane są z sobą bliższymi czy dalszymi stopniami pokrewieństwa i powinowactwa — dlatego też wszyscy we wsi za moich czasów mówili sobie: „bratu”, „szwagrze”, „swaku”, „ujku”, „stryku”, „krzesnoojcze”, — i zawsze przez „wy”. Młodzi witali starszych pocałowaniem ręki, odkrywając przy tym głowę i mówiąc: „niech będzie pochwalony...”

Religijność ludności z mego dzieciństwa graniczyła z fanatyzmem. W niedziele i święta wszyscy mający jakiegokolwiek obowiązek do kościoła. W domu zostawiali dzieci, zniedołężniał starcy i chorzy. Korzystali z tego liczni złodzieje, włóczędzy oraz Cyganie, odwieżdżając i okradając chałupy w tym czasie. W adwencie zwykle szedł ktoś z domu do kościoła na „roraty” odbywające się o świcie. W domu obierano kartofle i śpiewano „godzinki”. Przędowała w tym matka krzątająca się po kuchni, która była jedyną dla nas izbą mieszkalną. Ojciec przadł len, siedząc na długiej „ławie” pod ścianą, albo meł na żarnach, stojących w sieni. Ogień trząskał wesoło pod kuchnią, a na kominku dymił kopcuszek naftowy. My, starsi, wstawaliśmy równocześnie z rodzicami, pomaga-

jąc im w domu, robiąc „obrzadek” w oborze, lub idąc z bydłem w pole.

Krzesiwo za moich czasów ustępowało już „siarnikom”, które łatwo zapalały się przez potarcie o spódnie. Tytoń zwilżano śliną, zapychano do glinianej fajki i zapiekano w ogniu, aby był silniejszy...

Takie „posiedzenia fajkowe” odbywały się u nas często, szczególnie w długie zimowe wieczory. Z otwartą gębą słuchałem, siedząc na „przypiecku”, nieskończonych opowieści o dawnej doli i niedoli chłopów, o latach głodu, niedzy i męki pańszczyźnianej, o dawnych wojnach, o wojnie koszućkiej, kiedy Moskale szli tedy na Węgry, o dawnych zbójcach, złodziejach, koniokradach, o strachach, duchach, wielkich oberwaniach chmur, kiedy to „planetniki” wiodący straszliwe chmury zrywała z piorunami, najwyraźniej wolał pod niebem: „trzymaj! trzymaj!” — oraz tysiące innych ciekawostek, które mi już wywiewały...

Wesela sprawiano huczne, tłuste i pijane. Zabawy weselne odbywały się w karczmach i przeciągały się do tygodnia. Łała się strumieniami gorzałka, bogaci się karczmarz, przy cichej aprobacie ze strony kościoła. Powoli z karczem przeszły wesela do domu młodej, względnie młodego.

Chrzciny również sprawiano huczne i wesole. Wódka była tania — a jakże...

Słyszałem miejscowe opowiadanie, jak to w zimie wieziono saniami dziecko do kościoła i zgubiono je po drodze... „Krajbabka” pijana, pyta pijanych kumów, a kumotrowie pytają zaś „krajbabki”: „gdzie dziecko”? — podczas gdy niewinna biedaczyna skostniała już w zaspie śniegu...

W wigilię Bożego Narodzenia, przed rozpoczęciem wieczery, pukali ojciec trzykrotnie łyżką w szybę okna, mówiąc: — „chodź, wilku, chodź, a gdy nie przyjdiesz dziś, to nie przychodź cały rok!” Musiał to być zwyczaj z dawnych „wilczych czasów” — bo też krajaży tu wiele okropnych gadek o wilkach.

W dzień Nowego Roku chodzili po domach ubożsi chłopcy, owinięci od stóp do głowy pancerzem powrószonym, z uczernioną twarzą i rękami, z twardo upieczonym ze słomy harapem w rękę, mając na głowie imitację korony królewskiej, upieczonej ładnie ze słomy o spiczastym w krzyżki zakończeniu. Składali oni wierszowane życzenia noworoczne, zazwyczaj własnego pomysłu — otrzymując od gospodyni „draba”, t. j. niewielki, specjalnie w tym celu wypiekany bochenek chleba i kawał kielbasy. Nazywano ich „drabami” i straszono nimi dzieci.

Gospodarstwo rodziców składało się z trzech mórgów pola. Spośród 7-ga rodzeństwa — byłem najstarszy. Ojciec jeździł trzykrotnie do USA, oraz 2-krotnie na Węgry — za pracą zarobkową. Były to ciężkie dla biedaków czasy, chleb był rzadkim gościem w domu, a często gęsto i soli brakowało.

Przyszedłem na świat w domu, który już szczył się kominem. Stał on szczytem do drogi, od której był oddzielony dużym ogrodem, pełnym drzew owocowych: jabłoni, gruszy, wiśni i śliwek. Przed oknem, wypłastowane przez matkę, pachniały wiosną i latem ładne grzdziki kwiatowe i krzewy róż.

Dom, kryty strzechą słomianą, t. zw. „kiszkami”, był jednoizbowy — z sienią, komorą chlewem i oborą — pod jednym dachem. Połoga była gliniana. Jeden kąt izby, koło drzwi, zajmowała kuchnia i piec chlebowy z ciepłą susznią i nawierzchnią pieca, służącymi do suszenia zboża, oraz wyłęgania się, szczególnie porą zimową. Dalszymi meblami były: rodzinne łóżko, szafa na naczynia (grubej roboty kredens), długie ławy pod ścianami, kilka stołków, stół, oraz piękny i duży zegar amerykański, nakręcany raz w tygodniu — i dwusieczny szereg obrazów różnych świętych, wśród których czołowe miejsce zajmował ładny, ozdobny krucyfik za szkłem. Był on najlepszym wyrazem meki chłopca — człowieka.

W obszernej sieni stały potężne żarna, na których meło się wszelakie zboża, a najczęściej żyto na chleb, bo do młyna nie wożono. Najlepiej było mleć w dwójkę. Była to ciężka robota i połączona z wyskakiwaniem żarnówki z dziurki w kamieniu, skutkiem czego obijało się o ścianę palce do krwi.

W komorze stały saszki na zboże (tak często puste), wielka skrzynia „stolarska” z zamkiem na klucz — służąca do przechowywania „luchów odświętnych”, papierów gruntowych, a czasami paru groszy. Oprócz tego stały w komorze różnego rodzaju przedmioty, narzędzia stolarsko-ciesielskie ojca, ogromna beczka na kapustę kiszoną, paczki na suszone owoce i grzyby — a u góry pod samym sufitem — półki, kryjące największe moje skarby: książki, stare kalendarze, broszury, gazety, które od dzieciństwa pokochałem i skrzętnie gromadziłem. Spośród gazet pamiętam „Przyjaciela Ludu”, „Wieńca Polskiego”, „Pszczółkę” i „Kłosy”, które otrzymywał mój dziadek (ojciec matki), żywo interesujący się polityką.

W głębi podwórca stał osobny budynek, w którym mieściły się dwie stodoły z dużym pośrodku boiskiem „klepiskiem” do młócenia zboża. Grzmot cepów płynął hen — daleko, a rozlegał się po całej wsi, bo wszędzie młócono. Wialni we wsi nie było. Omiot czyszczenia, rzucając go „siedleczką” na przeciwną stronę boiska. Ruch ręki w czasie rzutu zakreślał w powietrzu kształt półksiężyca. Ziarno oddzielało się od plewy i układało w krzywą zaspę od ściany do ściany. Reszki plewy odwiewała chodząca przodem osoba — machając workiem. Następnie — czyszczono zboże na ręcznych przetakach i rzeszotach, oddzielając tym sposobem grube, dobre ziarno od pośledniego i oczyszczając je z grudek ziemi.

Poniżej była stajnia dla konia. Bywało, że wiosną kupował ojciec jakąś kobyłę do robót polnych, ponieważ posiadał wszystkie potrzebne narzędzia rolnicze wraz z wozem. Z braku paszy na zimę, sprzedawał konia po robotach jesiennych — na czym zwykle tracił, jednak w okresie robót polnych nie był zależny od nikogo — i dlatego był zadowolony. Za stajnią była gnojownia, a jeszcze dalej — murowana z potężnych bloków kamiennych piwnica na ziemniaki. W jej ciemnych chłupach przesiadywało kilka tygodni w okresie wojny 1914—15 r., kiedy Osobnica była objęta działaniem bitewnym.

Oprócz własnych trzech morgów pola dzierżawili rodzice dwa morgi ornej ziemi — od jednego z sąsiedniej rodziny Leśniaków, który „od pamiętnika” przebywał w USA.

Upragnioną sztukę czytania posiadałem jeszcze przed 6-tym rokiem życia. Jest to zasługa mojej matki, kobiety — jak na ówczesne wiejskie stosunki — rozumnej, dość szeroko odczytanej, posiadającej oprócz kobiecych religijnych książek i czasopism — Sienkiewicza, Kraszewskiego, Konopnicką, Lenartowicza — i sporo innych.

Matka była córką Michała Bartusia, jednego z przedniejszych przodków i polityków chłopskich Osobnicy i powiatu. Dziadek był najmłodszym z 12 braci i jedynej siostry, Marii, która była babką znanego działacza i pisarza — Władysława Wójcika. Dziadek był dobrym gospodarzem na 15 morgach, kochał się w „krwistych ogierach”, które stale hodował, roztrąpnym radcą gminnym, asesorem i politykiem, nachodzonym przez żandarmerię austriacką za przechowywanie ks. St. Stojalskiego. Zajmował również jakieś stanowiska w powiecie. Stałe dom dziadka zawalony był gazetami, które rozdawał odwiedzającym go sąsiadom. Znał on sztukę czytania druku i podpisywania się, ale pisać nie umiał. Zamierzał on „wyedukować” mnie na człowieka — niestety zaśkoczyła go niedługo śmierć. Dom dziadka znajdował się o mieście, dlatego też dużo u niego przesiadywałem. Był on mężczyzną średniego wzrostu, muskularny, barczysty o



Fot. J. Chlusi

sumiastym wąsle, jasno-konoplastej czuprynie i niebieskich oczach. Pod względem fizycznym był jednym z najsilniejszych we wsi. Twarz miał rumianą, poważną — sarmacką.

Dziadek miał 2-ech synów i 3 córki. Starszy wuj, Jan, wyemigrował w 16-tym roku życia do USA, gdzie ciężką pracą doszedł do własnego house w Chicago — i tam zmarł w 1937 r. Reszta pozostała w Osobnicy na roli.

Ojciec był najmłodszym z rodzeństwa. Ojca stracił jeszcze w wieku dziecięcym. Wiem tylko, że dziadek miał na imię Jakub, że służył na jakiejś wojnie, czy w powstaniu, skąd powrócił ranny w bok i skroń, na której oprócz głębokiej szramy nosił „gęste jak sito, czarne centki prochu pod skórą”.

Po śmierci dziadka Jakuba, pozostali starsi bracia i siostry mego ojca sprzedali ojcowiznę przenosząc się jedni — do Ryglia, drudzy do USA, pozostawiając ojca, wówczas małoletniego, prawnie mu przysługującego spadku. Ojciec wychował się u bliskich krewniaków, Kwiloszów, a gdy dorósł, odkupił z ojcowizny dwa morgi pola, które od rodzeństwa ojca nabył; kiedyś jego wychowawcy. Często wspominał, że pomimo swoich wędrówek po świecie — nie mógł zamieszkać gdzieś indziej na stałe, ale ciągle wracał w te strony, gnany sentymentem i ogromną tęsknotą za strzępem dziadowskiego zagonu.

Ojciec (1867—1933) był analfabeta — za ledwie umiał się podpisać. Jednak jako człowiek który dużo emigrował, wiele widział i przeżył — posiadał sporo wiadomości z geografii, z historii, i powszechnej, i polskiej, znał na pamięć nazwy prawie wszystkich stolic świata, ważniejszych rzek, wielkich ludzi i ważniejsze daty. Obydwał z dziadkiem karmił mnie wiadomościami o starych chłopskich dziejach, o poniżeniu społecznym, o potrzebie jakiegoś ratunku dla biednej wyzyskiwanej i przeludnionej wsi, dalej — o chłopskiej sile, o potrzebie wzięcia się do kupy i wielu, wielu sprawach, których często nie rozumiałem jeszcze, ale które sprawiały ból tak wymowny, że już wtedy zaczęły budzić w podświadomości młodej mego duszy pierwsze ogniki rozrastającej się z czasem w zarzewie świadomości klasowej.

Poza pracą zawodową na roli pracował ojciec jako cieśla, stolarz i kołodziej, kochał się w muzyce i rzeźbiarstwie. Wiele Chrystusików fraszoliwych i innych świątków

wyszło spod dłuta i kozika ojca i stało na wielu rozstajach i drogach polnych.

Wielką pasją ojca były skrzypki z drzewa lipowego własnej roboty — na których wygrywał prześliczne melodie wiejskie. Po najcięższej nawet pracy w polu, czy przy ciesielce — brał ukochane swoje skrzypce.

Grywał też ojciec na weselach w zespole innych muzykantów wsiowych. Kiedy już nacieszył się tonami skrzypiec — kładł swą spracowaną rękę na mojej czuprynie i opowiadał mi przeróżne historie, bajki, baśnie, opowieści i legendy, których znał całą moc, a przecież nigdy ich nie czytał — bo też i nie ma ich w druku. Były to samorodne perełki duszy chłopskiej — raczej twórczej zbiorowej duszy środowiska. Z tych to skarbow duchowych ludu polskiego winna powstać przebogata, swojska „baśń miliona nocy” — nocy chłopskiej, pracy ku rozkwitowi własnych kolorów.

Do miejscowej elementarnej szkółki uczęszczałem od 6-go do 12-go roku życia — tj. od 1908 do 1914 r. Rachunków specjalnie nie lubiłem, a — jak na złość z nimi właśnie miałem dużo w życiu do czynienia. Szkoła emocjonowała mnie — uczyłem się pilnie i z zapałem. Po powrocie ze szkoły najpierw odrobiłem lekcję, a później dopiero siadałem do posilku, na który zwyczajnie składały się ziemniaki, kapusta, żur żytny lub owsiany, czasami kawałek chleba, albo kluski okraszone mlekiem. Czasami były pierogi z twarogiem, a raz w miesiącu — w niedzielę — mięso z królika. Masła prawie nie znałem, bo każda kruszynę trzeba było sprzedać...

Z prawdziwym zamiłowaniem wykonywałem na pamięć wiersze i artykuły, nie tylko z podręczników szkolnych, ale i z innych książek, kalendarzy i gazet.

Z książką w ręku wymykałem się w jakiejś ciszce poza domem, siadywałem na miedzy pośród zbóż — a najczęściej sposobności do nauki dawały mi chwile pasania bydła. Charakter pisma miałem nieładny, koślawy, ale pisałem czysto, starannie. Podręczniki szkolne wraz z zeszytami zawsze były czyste i w wielką dbałością przechowywane na specjalnej półce. Wyjeżdżając do Brazylii pozostawiłem je mojej matce wraz z uciętą biblioteką.

W domu, w szkole, w kościele, w drodze — bywałem skromny, cichutki, „zadumany”, mało mówny — i dlatego miałem najlepszą opinię u ciotek...

Lubiłem obserwować przepiękny krajobraz rodzinnej okolicy, wspinałem upstrzony rozmaitością zbóż, pagórków, zagajników, lasów i niedalekich gór. Bywało, że w burzliwej, piorunowej noc wstawałem ukradkiem z pościeli, by zachwycenym wzrokiem podziwiać przejawiającą się potęgę natury. Lubiłem wspinać się na wierzchołki najwyższych drzew, skakać w najgłębszą wodę, — a ile razy skutkiem nieostrości topiłem się zimą w przereblach, względnie na słabych lodach rzek i stawów! Posiadałem niepomowiany pęd do przygód i niby niewinnego ryzykanctwa tam, gdzie niebezpieczeństwo życia, czy nabawienie się kalectwa!

Rodzice wymagali ode mnie pilności i postępu w nauce, szczególnie dbała o to matka, która nie raz dopomagała mi w wykonywaniu zadań domowych.

W drugim, czy trzecim roku mojej młodości elementarnej, zbliżyłem się do kierownika szkoły, Stanisława Sochackiego, pożyczając od niego książki, które on sam wybierał i polecał mi do czytania. Od tej pory została zadzierzgnięta między nami przyjaźń szczerą i głęboką, która przetrwała do zgonu nauczyciela.

Żywym przykładem i dowodem sentymentu ucznia do życzliwego nauczyciela i przyjaciela — i odwrotnie — była napisana przez St. Sochackiego przedmowa do mego debiutanckiego zbiorku pt.: „Echa wiejskie”, wydanego w 1928 r. Po przedmowie zwróciłem się do swego wychowawcy, pomimo iż mieszkaliśmy w Krośnie i miałem już wówczas nawiązane stosunki z osobistościami o znanych nazwiskach, jak: prof. Franciszek Bugaj, prof. St. Pigoń, prof. Leon Marchlewski, prof. Jan Owiniński, Jakub Bojko, Jankę z Bugaja, Ferdynand Kuraś, Robert Rydz, Józef Kapuściński — i z wielu innymi.

Wspomniany kierownik szkoły — pomimo, iż sam nie pochodził ze wsi — głęboko interesował się zdolniejszymi chłopcami wiejskimi i wpływał moralnie na ich rodziców w kierunku dalszego kształcenia ich. Dzięki niemu właśnie wyszedł z Osobnicy następny ludzki średni i uniwersytecki wykształceniem.

Zainteresował się on i moją osobą, pragnąc — jak to mówił do rodziców i do dziadka — „wyprowadzić Wojtusię na ludzi...”

W tym celu zbierał mnie nie raz po lekcjach do siebie na szklankę herbaty, wymieniając mi przy tym pożyczane książki, odpowiadał mi w domu, siedział nieraz ze mną w polu, na pastwisko — a zawsze mi coś ciekawego opowiadał i zwrócił moją uwagę na ten czy ów szczegół otaczającej mnie przyrody.

W 1913 r. rozpocząłem u niego lekcje prywatne, które trwały codziennie od godz. 6 do 8 wieczorem. Celem tych lekcji było przygotowanie mnie do egzaminu do klasy wyższej Seminarium Nauczycielskiego.

Tu mi się jednak coś nie kleiło. To przerwy w nauce z powodu wojny, to inna — dość długa przerwa — z powodu obłożnej choroby nauczyciela. W 1918 roku nastąpiła dalsza kontynuacja lekcji — jednak władze szkolne nie dopuściły mnie do egzaminu, czy też termin jego odczytali.

Tak upływały moje chłopięce lata. Pracowałem w polu, bawiłem się w gospodarza w okresie ojcowskiej wojaczki (1915—17), grodziliem zniszczone płoty, posyłałem „kiczkami” dachy, młóciłem z młodszym bratem zboże — a wieczorem ślecząłem przy lampce naftowej nad książkami. Zachęcałem również do czytania, pożyczałem im, co mogłem, co kupiłem za grosz wyłudzony od matki, czy od dziadka, bo za książki nie przepadałem, pragnąłem posiadać własną bibliotekę, chciałem być niezależnym i pod tym względem zaimponować samemu kierownikowi! Tak do 1920 r. zebrałem około 500 tomów — oprócz broszur i kalendarzy.

Wojciech Breowicz.

Julian Lewański

M E T R Y K A S A M O T N Y C H*)

Dziesięć opowiadań Poli Gojawiczyńskiej, mianowicie „Dwoje ludzi” i „Książka” ostatnio w spornym nakładzie (ponad 10.000 egzemplarzy) puściła na rynek — są wydawnictwem charakterystycznym. Nazwisko autorki dobrze znany, cenimy zwłaszcza materiał opisowy, obraz środowisk jej powieści przedwojennych, cenimy bardzo dobre pióro. Pamiętam, że wybierała drogę dobrą powieści popularnej, że była czytawą i chwalała nie w kawiarniach literackich, ale przez bardzo szeroki krąg odbiorców. „Dziewczeta z Nowolipiek” były swego czasu rewelacją — powieść polska do dzisiaj bowiem z przedziwnym uporem wybiera na bohaterów inteligentów! Nie też dziwnego, że powieść Gojawiczyńskiej określana być mogła niemal jako egzotyka, że dzieje jej dziewcząt czytało się z zainteresowaniem. Zwracając, że komentarz psychologiczny był bogaty i efektowny — nie pytalimy o jego słusność.

Przekładamy dwie karty nowo wydanej wielkiej książki. Oto spis rzeczy, w którym łatwo policzyć podjęte tematy. Pięć opowiadań wprowadza przedstawicieli proletariatu, ludzi pracy, pięć natomiast szkicuje nauczycielkę, urzędnika, jakiegoś zamożnego inteligenta, inżynierów.

*) Poli Gojawiczyńska: „Dwoje ludzi”, Warszawa 1948, „Książka”.

Pytamy o podjętą problematykę. Mieści się ona w świetnie realizowanym tytule; w każdym opowiadaniu bardzo zgrany, oszczędnymi zabiegami pisarskimi kreśli Gojawiczyńska dwie postacie, (dwoje: mężczyźni i kobiety). Rozróżnienie płci nie jest tak ważne jak rozróżnienie — dla każdej z tych par — stylu życia, temperamentu, struktury społecznej, z jakiej wyszły. Dwoje ludzi: pozornie są sobie bliscy, pochodzą z tego samego miasta, są tej samej narodowości, są poprostu „ludźmi”. Autorka pokazuje nam co najmniej sześć razy tę samą sytuację tragiczną: spotkanie dwojga ludzi, którzy nie znajdują u siebie żadnej pomocy; spotkania nie wnoszące nic pozytywnego ani tym ludziom ani społeczeństwu. Socjologia tego najprostszego układu społecznego (dwuosobowego), owej czasowej współzależności ma ciągle ten sam mechanizm; najostrejszy ukazany jest w pierwszym opowiadaniu.

II

Nauczycielka (z biednej rodziny, kształcąca się z wysiłkiem), na przedmieściu małego miasteczka, samotna, czująca do osamotnienia posiadła pewien wzór życia starannie ułożonego, pokoik czysty i przytulny i... pragnie nie zmiany, małżeństwa, a może tylko mężczyzny. Leśniczy — ma dosyć samotności w leśniczówce, wesółych dziewcząt z folwarku, ale oczywiście jest nosicielem innego wzoru życiowego. Spędza godzinę z nauczycielką,

piją herbatę z ciastem. Jego nieco folwarczne zalety (które miały utworzyć drogę porozumienia) nauczycielka przecina opowiadaniem i taktem. Leśniczy trafia następnie na folwark, skąd pokoik nauczycielki wydaje mu się białą przystoją trumna, — ona sama wstrętna. — Zetknięcie się dwu kręgów myślenia, obyczaju, przyzwyczajenia daje obserwację makabryczną, jest przykre, pesymistyczne, nieszczęśliwe. Dalsze cztery „inteligentne” opowiadania przenoszą ten sam wzór nieudanych spotkań na inne płaszczyzny. „Lipa” na letnisku pokazuje nowe formy życia uczuciowego urzędnikowi, który był podporządkowany suchym regułom i ubogiej fantazji własnej żony. „Pod ziemią” wprowadza parę przyjaciół, doskonałych przyjaciół, rozumiejących się bez słów — z tym tylko wyjątkiem, że mężczyzna miarą swojej racjonalności, inteligencji, niewrażliwości na cierpienie chciał mierzyć przyjaciółkę. Dlatego on odchodzi bez słowa. Celina w opowiadaniu „Przed nocą” spotyka Piotra, który może ją ocalić przed samotnością: „Coraz mniej i coraz mniej uczestniczy się w życiu. Gasną gniewy, nie podobna wycisnąć łyż z oczu, błędna gorące zainteresowania... Jakiś tajemniczy motor porusza tamtych, podczas gdy w niej zamarlała potrzeba działania... Jakoś tam się pourządzali, kiedyś znieśli swoje zdobycze i straty, gdzieś indziej usłyszeli oddźwięk swojego życia. Pozostali jakieś śmieśne rzeczy, jakieś pokoje z kuchnią, bielizną, u której trzeba było dbać, codzienne rachunki, jado. Czemu nie odeszli całkowicie?...”

To otoczenie pustką jest ciężkie, jest niezawinione, niebadalne; nawet nie tajemnicze. Jest w pewnym sensie metafizyczne — tak jak było i w innych opowiadaniach metafizycznych mimo pozorów społecznych i obyczajowych racji. Oto koniec opowiadania:

„Obejmują się raz jeszcze, z przymkniętymi oczyma. Czoło Piotra pełne namysłu i medytacji spoczęło na jej ramieniu. Teraz każde w sobie przeżywa akt połączenia, teraz, gdy ramiona zachowały jeszcze uścisk rozpaczliwy i nie prócz znużenia, prócz żalności, prócz smutku i beznadziei. Skrywając przed sobą litośnie twarze, wygnani z raju, płaczą”.

Trudno dyskutować czy powolna śmierć Celiny to przykład choroby psychicznej, czy tylko poczucie bezużyteczności poza strukturą społeczną (i strukturą społeczną w znaczeniu rodziny i w znaczeniu swojej klasy, lub choćby środowiska). Samotność bohaterki ma jeszcze drugi wektor: bezideowość. Bardzo charakterystyczne jest pominięcie przez Gojawiczyńską typów ludzi, którzy by byli nosicielami lub realizatorami jakichkolwiek idei. Może to oznaczać, że w przekroju przedstawionego czasu — akcje mieszczą się w okresie międzywojennym — nie chciała autorka dobrać ani hasła, ani działań politycznych i społecznych. Notatnik pisarki nie mieścił ani ocen, ani dyskusji nad stanem ekonomicznym i społecznym. Notuje zaledwie raz akcję wyborczą, raz działania antysemitki, zamyka książkę „krajobrazem” braków Annapola.

III

Zbierzmy teraz opowiadania o ludziach pracy. Użyjmy tego określenia dla bohaterów opowiadań Gojawiczyńskiej w wąskim znaczeniu: są to jednostki, które od wczesnych lat życia muszą zarabiać na siebie, utrzymując z trudem jakiś minimalny poziom życia, nie znają dróg do poprawienia sobie narzędzi pracy i dróg zarobkowania, uzależnieni są całkowicie od przypadkowo spotkanego pracodawcy i wahań rynku pracy. Trzy obrazy wprowadzają nastrój jakiegoś rzewnego optymizmu. Oto majster stolarski, który z trudem dobil się warsztatu, zarobku, pozycji i oznak klasowego awansu (chodzi o cukiernię) za cenę życia, złożonego z niesprawiedliwości i przykrości — dobrze czyni małemu kuzynowi, „bidnemu szczeniaku”. Oto para młodych handlarzy z kiosków plażowego wybiera się do kąpielni rano, gdy nie ma jeszcze nad morzem nikogo: plaża, kostium, piękne ciała na piasku — są związane z klasą posiadaczy, bogaczy. Słońce i powietrze jako dystynkcja klasowa! Przyroda stała się dla tych proletariatu objawieniem:

„Złożyli wzajem głowy na ramionach, ocierając szyję o szyję, jak zwierzęta, gestem pieczyoty i pokrzepienia w tym wielkim, pełnym głosem a niemym świecie ziemi, drzew, ptaków i wody”.

Spotkanie głodnego bezrobotnego i wracającej na wieś służącej z Warszawy układa się też słonecznie. Ona nawiązuje (po jakimś zawadzie miłosnym!) znowu nie porozumienia, on znajduje pracę — nie pytamy czy na długo. Wszystko w książce dzieje się przypadkowo, albo automatycznie.

Szewc niemowa sprzedaje właśnie stół — w domu niedza, podrastająca córka już zdaje się zeszła na złą drogę — „szewc nakupił ją, zrobił córce pantofelki, ho, ho, może zafunduje jaką sukienkę? Spojrzył na stół jak na ofiarę, którą się składa niewiadomemu bóstwu na daremny okup. Prędej czy później Mania wyfrunie z ciemnej kłitki, a szewc zmarnuje taki sprzęt za byle co”.

Równie pesymistycznie rozwiązany jest los Sitarka, bohatera ostatniego opowiadania. Zajmuje ono czwartą część książki, jest najkompletniejsze jeśli chodzi o biografię postaci, najobszerniejsze w motywach. — Sitarek otrzymał tygodniową wypłatę, spotkał Oleśię, ułożyli małżeństwo, pobrali się nawet. Ale ta pierwsza duża wypłata była i ostatnią — fabryka powoli staje, Oleśia znika, Sitarek szuka pracy. „Stali pośrodku, Sitarek i Pia-secki, oglądając się na wielkie miasto, War-

szawę, patrząc przed siebie, na wydmę An-nopola. Wyglądało to jak odrzucona na bok kupka nędznego śmiecia — rojąca się od żywiołów ludzkich, nikomu już niepotrzebnych”.

To ostatnie opowiadanie potwierdza obserwacje poprzednich: świat jest wielki i straszny, niepoznawalny. Życie ludzkie może być pomyślne, ale częściej jest trudne i tragiczne. Inteligenci martwią się o jego kształt uczuciowy, robotnicy walczą o kalorie pokarmu i o ubranie. Walczą z nieokreślonym, nienazwanym i nienazwalnym czasem, losem, wypadkiem.

Pytamy jeszcze: czy ta ignorancja, ta niewiedza to postawa bohaterów czy również i autorki? Niestety także i autorki. Tutaj właśnie odnajdziemy źródło owego mdłego, pesymistycznego humanitaryzmu mieszczańskiego: litujcie się czytelnicy nad Sitarkiem, Manią-prostytutką, samotną Celiną. Bo nie i nikt im nie poradzi, nie poprawi. Nie trafia nikt z malowanych w opowiadaniach postaci na pomoc rodziny, na formy jakiegokolwiek solidaryzmu, na organizację lub partię. Nie są nawet wspomniane. Tragiczni bohaterowie są dokładnie osamotnieni. Nawet nie zaznaczono potencjalnych możliwości spotkania z takimi formami życia i pracy, które dąłyby lepszą przyszłość.

IV

Nie pomogło książce, że przedstawia konkretny czas i konkretne miejsca. Inżynier likwiduje fabrykę, w której pracował Sitarek, ponieważ kupił zbyt dużo maszyn. Bezrobotnie Sitarka to wina przypadku i złej kalkulacji a nie ustroju! Gojawiczyńska przedstawia przyczyny losu swoich bohaterów, ale tylko najbliższe, pierwsze ognio. Dalszych nie tylko nie bada, ale nie wspomina o nich w ogóle. Nie odczuwamy najsłabszej nawet sugestii, aby do takiego badania chciała zachęcić czytelnika, który mógłby otarłszy łzę pytać, dlaczego w ogóle istnieje Annapol?

Kiedy więc stwierdziliśmy, że książka nie odpowiada postulatowi realizmu, badajmy, czy ma wartość jeśli nie prawdziwego, to dobrego obrazu. Możnaby pytać o motywację artystyczną kilku elementów, poprawić trzy błędy korekty stylistycznej — ale najciekawszy jest obraz owych ludzi pracy, ich języka i myślenia. Gojawiczyńska posiada pióro nowoczesnego prozaika, wysoko ukształcone walory dobrego rzemiosła pisarskiego — i dlatego ważne jest, jak rozwiązała najtrudniejsze i najważniejsze zadanie.

Wchodzą w rachubę trzy główne możliwości:

1. przedstawić protokólnie, jak najwierniej teksty wypowiedzi bohaterów-proletariatu, przedstawić możliwie najprawdopodobniej ich sposób myślenia, zasób możliwych uczuciowych i intelektualnych procesów (potrzebnych do akcji),
2. przedstawić życie psychiczne robotnika sproletaryzowanego tak, jak się to w powieściach, rozmowach inteligentnych zazwyczaj przedstawia,
3. narzucić czytelnikowi pewien obraz uczuć i myśli owych ludzi pracy, taki mianowicie, który autorowi wydaje się słuszny, umotywowany artystycznie i ideologicznie.

Można przypuszczać, że te schematy, które odczytujemy z opowiadań, odpowiadają w znacznej części warunkom punktu pierwszego. To oczywista zaleta. Polscy powieściopisarze określili się klasowo bardzo wyraźnie i szwankuje u nich umiejętność przedstawiania środowisk chłopskich i robotniczych. — Ale już w odniesieniu do wypowiedzi bohaterów istnieje pewna ogólna zasada pisarska, mianowicie, że dialektyzmy łagodzi się, przekłada na język pisarski, zwraca ich działanie. Oczywiście Gojawiczyńska stosuje się do tej, słusznej skąd inąd reguły. Niestety jednocześnie zwręca i zespół obserwacji psychologicznych! Do jakiego rozmiaru? Czym wyznaczono? To jest właśnie druga przegrana tej książki: życie psychiczne bohaterów wyznaczone jest ową negatywną filozofią życiową, licznymi „nie”, cofnięciami i przegrany. Ludzie pracy toczą swoje dni bez protestu, bez działania, bez nadziei. Nie pytamy więc czy to narzędzie czy dokument. Notatnik pisarki był notatnikiem obserwatora, nawet sztabuchem lirycznym, ale nie notesem działacza, który oblicza skutki swojego pisarstwa, który posiada ostro wyznaczone cele społeczne dla literatury, który chce komunikować prawdy i wzruszenia pozytywne.

Książka jest oczywiście dokumentem czasu międzywojennego i to w dwojakim znaczeniu. Daje obraz życia — tego bezideowego, martwego morza, ciemnego i niezmiennego. Ludzie nie tworzą społeczności, spójni — są ciągle sami, umierają z osamotnienia.

Opowiadania są nadto dokumentem pisarstwa międzywojennego. Oficjalny optymizm rządowy, cenzura, mity mocarstwowości nie przesłoniły niektórym pisarzom zbliżającej



Pola Gojawiczyńska

się katastrofy politycznej i zmian społecznych. Pesymizm Gojawiczyńskiej jest chyba więcej smutkiem martwego morza niż marną sentymentalną.

V

Tu czas wyjaśnić, że opowiadania „Dwoje ludzi” wyszły z druku pierwszy raz w roku 1937. Dlatego właśnie tyle miejsca i uwagi poświęcamy niewielkiej książeczce, że wydawca zaniedbał zaznaczenia daty pierwszego wydania. Zbyt szybko dokonują się u nas zmiany i zbyt szybko poszerza się krąg czytelnicy, aby takie sprawy można lekceważyć. Opuśzczenie daty pierwszego wydania, zaniedbanie najprostszej informacji — na jednej kartce — o książce i autorce, wyrządza krzywdę i wydawnictwu, i Gojawiczyńskiej. „Opowiadania” mierzone dzisiejszymi postulatami — oceni się jako zacofane, blade, szkodliwe. Z perspektywy dwunastu lat ukazać je można w znacznie innym świetle. Metryka jest nie tylko formalnością ale i ważnym komentarzem.

Julian Lewański

Tłum. Jerzy Pomianowski

Antoni Czechow

NIEPOKÓJ PUBLICZNY *)



Ziemia przypominała piekło. Poobiednie słońce paliło tak gorliwie, że nawet Reaumur wiszący w gabinecie naczelnika urzędu akcyzowego stracił głowę: doszedł do 35.8 stopni i w niepewności na tym poprzestał... Z mieszczan spływał pot jak z zagłuszonych koni i wysychał na nich samych; nie mieli siły go wycierać. Przez duży plac rynkowy w obliczu domów z okiennicami zamkniętymi naглуcho szli dwaj miejscowi obywatele: kasjer Poczeszichin i pokątny doradca (a jednocześnie długoletni korespondent pisma „Syn ojczyzny”) Optimow. Obaj szli milcząc z uwagi na upał. Optimow miał chęć skrócić zarząd miejski za kurz i brud na placu rynkowym, ale znając spokojny charakter i umiarkowane przekonania swojego towarzysza zachowywał milczenie. Na środku placu Poczeszichin nagle zatrzymał się i zaczął patrzeć w niebo.

— Cóż pan tam widzi, panie Eupliusz?

— Szpaki przeleciały. Patrzę, gdzie usiadą. Cała chmura! Jeżeli, przypuścimy wystrzelić z fuzji, jeżeli potem zebrać, i jeżeli... w ogrodzie ojca protorejera usiadły!

— Bynajmniej, panie Eupliuszu. Nie u ojca protorejera, a u ojca diakona Wra-toadowa. Jeżeli z tego miejsca wystrzelisz, to niczego nie zabijesz. Śrut jest drobny i traci siłę zanim doleci. Przy tym pomyśl pan sam, za cóż je zabijać? Ptak kat na jagody, to prawda, ale zawsze to żywe stworzenie, że tak powiem — wszelkie ptaki. Szpak, zauważył też, śpiewa... A czemu to on, zapytajmy śpiewa? A dla chwały śpiewa. Wszelki duch pana Boga chwali.

— Oj, nie! Zdaje się, że siadły u ojca protorejera!

Obok rozmawiających przeszły w milczeniu trzy stare dewotki z tobołkami i w łapciach. Popatrzyły w zdziwieniu na Poczeszichina i Optimowa, którzy wpatrywali się nie wiedząc czemu w dom ojca protorejera, potem zwinęły kroku, zatrzymały się nieopodal, jeszcze raz zerknęły na naszych przyjaciół i — same zaczęły obserwować dom ojca protorejera.

— Tak, miał pan rację. Usiadły u ojca protorejera — mówił dalej Optimow. — Tam teraz wiśnie dojrzwały, więc też one poleciały tam sobie podziobać.

Z furtki protopowa wyszedł sam ojciec protorejera Woźmistrzjew a z nim diaczek Jewstigniej. Widząc, że wszyscy zwracają na niego uwagę i nie rozumiejąc, na co właściwie ludzie patrzą, protorejer zatrzymał się i razem z diaczkiem zaczął także patrzeć w górę, żeby zrozumieć, o co chodzi.

— Ojciec Paisjusz pewno idzie na nabożeństwo — powiedział Poczeszichin. — Panie Boże dopomóż!

Przez plac, między naszymi przyjaciółmi i ojcem protorejera, przeszli wracając z kąpielni w rzece wyrobny kupca Purowa. Widząc ojca Paisjusza zwracającego swoje oczy ku wysokośćom niebieskim i dewotki, które stały bez ruchu i także patrzyły w górę, wyrobny zatrzymał się i również zaczął patrzeć w tę stronę.

To samo uczynił chłopiec prowadzący ślepego żebraka i chłop niosący baryłkę zepsutych śledzi, które miał zamiar wyrzucić na plac.

— Coś się stało najwidoczniej — po-

wiedział Poczeszichin. — Pożar, czy co? Nie, przecież nie widać dymu! Hej, Kuźma! — krzyknął do stojącego opodal chłopca. — Co się tam przydarzyło?

Chłopina coś odpowiedział, ale Poczeszichin i Optimow nic nie usłyszeli. We drzwiach wszystkich sklepów ukazali się senni subieci. Mularze grzebiący się koto kramu kupca Fertikulina porzucili swoje drabiny i przyłączyli się do robotników. Strażak, kręcący się bosymi nogami w kółko na wieży strażniczej, zatrzymał się, popatrzył chwilę, po czym zszedł na dół. Widać osierociła. To już było podejrzane.

— Czy aby nie pożar? Proszę się nie pchać! Świnia czarcia!

— Gdzie pan widzi pożar? Co za pożar? Proszę państwa się rozejść! Po dobremu proszę!

— Pewno zapaliło się od środka!

— Po dobremu prosi, a łapami tyka. Nie machaj pan łapami! Chociaż z pana naczelnik, ale nie ma pan żadnego pełnego prawa rękoma się posługiwać!

— Na odcisk mi nadepnął! A bodaj cię samego rozdeptali!

— Kogo rozdeptali? Ludzie, tu człowieka zdeptali!

— Co tu robi ten tłum? W jakim celu?

— Człowieka, celencyjo, zdeptali!

— Gdzie? Rozejść się! Panowie, po do-

bremu proszę! Po dobremu prosi się ciebie, pało jedna!

— Chamów możesz sobie popychać, a

dobrze urodzonych — ani się waż! Nie dotykać!

— No i to mają być ludzie? Czy to ich, diabłów, dobre słowo wzruszy? Sidorow, leć no po Akima Daniłysza! Żywo! Panowie, przecież dla was samych będzie gorzej! Przyjdzie Akim Daniłysz i sami wtedy oberwiecie! I Parfion tutaj?! A niby ślepy, także mi święty staruszek! Nic nie widzi, a tam się pcha, gdzie reszta i jeszcze słuchać nie chce!

Smirnow, zapisz Parfiona!

— Rozkaz! Tych od Purowa także pan rozkaże zapisać? Ot, ten, co mu gęba rozpuchła — to od Purowa!



Rysunki Hanny Orzechowskiej

*) Z tomu „Opowiadania wesołe”, który w tłumaczeniu J. Pomianowskiego ukazuje nakładem Biblioteki w Prenumeracie „Czytelnika”.

— Tymczasem ich nie zapisuj. Purow ma jutro imieniny!

Szpak ciemną chmurą wleciał nad ogrodem ojca protorejera, ale Pozeszychin i Optimow już ich nie zauważyli; stali bowiem i patrzyli ciągle prosto w górę, starając się zrozumieć, dlaczego taki tłum się zebrał i na co patrzy. Zjawił się Akim Danilycz. Żując coś i wycierając wargi zarzycał i werżał się w tłum.

— Strażacy, przygotować się! Rrozejść się! Panie Optimow, niech się pan rozejdzie, bo będzie gorzej! Zamiast do gazet pisać różne krytyki na porządnym ludzi pan by lepiej postarał się samemu prowadzić się właściwie! Gazety dobrego nie naucza!

— Proszę pana nie robić aluzji do jawności życia publicznego! — zdenerwował

się Optimow. — Jestem literatem i nie pozwolę panu nastawać na jawność, chociaż obowiązek obywatelski każe mi pana szanować jako ojca i dobroczyńcę!

— Strażacy lu!

— Kiedy wody nie ma, celencyjo!

— Nie gadać mi tu! Jechać po wodę! Żywooo!...

— Nie ma czym jechać, celencyjo!

Pan ogniomistrz strażackimi końmi pojechał odprowadzić ciotkę!

— Rozejść się! Caf się, żeby cis diabli wzięli... Co, smakowało? Zapisz no go, diabelskie nasienie!

— Ołówek mi się zgubił, celencyjo...

Tłum rósł i rósł... Bóg wie do jakich by rozmiarów wyrósł, gdyby w szynku Greszki nie przysłało komuś do głowy wypróbować przyslaną niedawno z Moskwy no-

wą pianolę. Usłyszawszy melodię „Strzałki” tłum stęknął i rzucił się w stronę szynku. W ten sposób nikt się nie dowiedział, czemu się ta ciżba zgromadziła, Optimow zaś i Poceszyczin zdążyli już zapomnieć o szpakach, właściwych winowajcach całego wypadku. Po godzinie już w mieście panował bezruch i cisza; widać było jedną tylko żywą duszę — strażaka, kręcącego się na wieży...

Wieczorem tego samego dnia Akim Danilysz siedział w kolonialnym handlu Fertykulina, pił lemoniadę gazowaną z koniakiem i pisał: „Oprócz oficjalnego dokumentu mam śmiałość załączyć, wasza miłość, także pewien dodatek od siebie. Ojciec i dobrodziej ty mój, jedynie i wyłącznie dzięki modlitwom pełnej cnót pańskiej małżonki, mieszkającej na przemilnym

letniku w pobliżu naszego miasta — cała rzecz nie doszła do krańcowych rozmiarów! Tylem się nacierpiał przez ten jeden dzień, że nawet opisać tego nie sposób. Nie znajduję dostatecznie mocnych słów pochwały dla rzutkości Krukszeńskiego i ogniomistrza Portujejewa. Dumny jestem z tych godnych synów naszej ojczyzny! Co do mnie, to uczyniłem to, co zrobić może słaby człowiek, wszystkiego najlepszego jeno życząc swoim bliźnim, a siedząc teraz wśród moich domowych pieleszy ze łzami dziękuję temu, kto zapobiegł przelewowi krwi. Winni, w związku z brakiem dowodów przestępstwa siedzą tymczasem pod kluczem, ale mam zamiar wypuścić ich za jakiś tydzień. Przecież tylko ciemnota doprowadziła ich do wykroczenia!”

A. Czechow — tłumaczył J. Pomianowski

Józef Barteci

Wyższa wiedza dla ludzi na prowincji

(projekt do dyskusji)

Jeżeli pragniemy mieć na wsi dostateczną ilość wykwalifikowanych nauczycieli, musimy wytworzyć atrakcyjność pracy w szkole wiejskiej. Dziś, podobnie jak w przeszłości, marzeniem dla większości nauczycieli wiejskich to praca w mieście, gdzie istnieje możliwość dalszego kształcenia się, wykorzystania tych czy innych ośrodków kultury, lepsza pomoc lekarska itd. itd., a na de wszystko kształcenie własnych dzieci. Największą gorączką przepojone były i są powszechne narzekania wiejskich nauczycieli, że kształcą cudze dzieci nie mogą kształcić własnych. I nie dziwnie, są to sprawy aż nadto ludzkie. Ale to powoduje, że dużo i to często — wartościowych nauczycieli emigruje ze wsi do miasta, a na ich miejsce posyła się ludzi bez szerszych, czy wyższych aspiracji, mniej zaradnych lub wręcz niewykwalifikowanych, albo zostawia się „obwód bezszkolny”, w którym zamieszkałe dzieci są w ogóle pozbawione możliwości uczęszczania do szkoły. Należy więc przeciwdziałać tej emigracji nauczycieli wiejskich, ale oczywiście nie drogą rozporządzeń i utrudnień.

Praca nauczyciela wymaga entuzjazmu, którego nie da z siebie przymusowo zatrzymać pracownik. Trzeba znaleźć owe środki atrakcyjne. Środki, które usuną najbardziej zasadnicze bolączki, na jakie cierpi wiejski nauczyciel. Spośród nich — wysuwają się:

- 1) sprawa mieszkaniowa,
- 2) nieodpowiednie lokale szkolne,
- 3) brak możliwości kształcenia własnych dzieci,
- 4) trudność, a raczej uniemożliwienie dalszego własnego kształcenia się nauczyciela,
- 5) oddalenie od ośrodków kultury i „szerzego świata”.

Jak wskazują liczne obserwacje i wypożyczenia nauczycieli, jedną z charakterystycznych ich zalet jest pęd do dalszego kształcenia się. Nie miejsce w tym artykule na przytaczanie licznych i często jakże wzruszających faktów uzasadniających to zresztą powszechnie znane w Polsce zjawisko.

Należy podjąć niezwłocznie starania o zorganizowanie korespondencyjnych studiów akademickich. Korzystać z nich mogłby każdy, ale dla wiejskiego nauczyciela, dla działacza oświatowego na wsi, byłaby to wspólna możliwość zaspokojenia ambicji naukowych. Tego rodzaju formy kształcenia spotykamy już za granicą. Szczególniejszy ich rozkwit — i to właśnie w stosunku do nauczycieli — obserwujemy w Związku Radzieckim. U nas mamy już poważny dorobek w tej dziedzinie w zakresie szkoły średniej. Można i należy wypróbować te formy w stosunku do szkół wyższych. Niewątpliwie byłoby to u nas zjawisko o charakterze rewolucyjnym i jako takie napotkałoby na różne opory. Ale nie powinno to nas zrażać.

Akademickie studium korespondencyjne (A. S. K.) posiadałoby 3 zasadnicze formy pracy, a mianowicie:

- 1) 8 kursów żywego słowa, w czasie których słuchacze zaznajamiali się z metodami pracy naukowej, otrymywaliby przydział prac i niezbędne wskazówki do samouctwa, kontrolowaliby swoje postępy, doskonaliliby metody zdobywania wiedzy, a wreszcie przez bezpośrednie słuchanie wykładów, udział w ćwiczeniach i seminariach wzbogaciliby zasób wiadomości rzeczowych;
- 2) systematyczne wykłady radiowe poszczególnych profesorów i ew. omawianie przez nich nadsyłanych pytań natury zasadniczej;
- 3) samodzielna praca słuchaczy na zlecenie przez profesorów okresowe tematy. Wyniki tych prac referowałiby słuchacze na piśmie i w ustalonych terminach nadsyłałaby profesorom (lub odpowiedzialnym asystentom) do oceny.

Wszystkie 3 formy uzupełniałyby się wzajemnie stanowiąc zwarty system. Warto zauważyć, że 8 kursów żywego słowa obejmowałoby łącznie ca 1100 godzin. Do tego należy doliczyć wykłady radiowe i około 36 miesięcy pracy samodzielnej, co przy rzeczywistej dojrzałości umysłowej, pogłębionym przez życie zainteresowaniu przedmiotem i ochotniczym nastawieniu do pracy może — jeśli nie przewyższyć — to zrównoważyć 1440 godzin, które student obowiązany jest poświęcić na wykłady i ćwiczenia

w czasie normalnych 4-letnich studiów na uniwersytecie.

Zakładam możliwość dwu koncepcji organizacyjnych: 1) akademickie studium korespondencyjne stanowi odrębną uczelnię akademicką, a więc Uniwersytet Korespondencyjny i 2) A. S. K. działa w oparciu o istniejące w Polsce uniwersytety, które imatrikują słuchaczy tego studium, przeprowadzają dla nich kolokwia i egzaminy oraz przyznają stopnie naukowe, wydają dyplomy, biorąc całkowitą odpowiedzialność za poziom i kierunek naukowy. Natomiast rekrutacja słuchaczy, czuwanie nad terminowym wykonywaniem przez nich prac, organizacja kursów żywego słowa, wykładów radiowych, ułatwienie słuchaczom zaopatrzenia się w skrypty i podręczniki, udostępnienie im pracowni naukowych i dydaktycznych oraz bibliotek obarczałoby już organizatorów A. S. K.

Piotr Pigwa

Oczekiwanie na książkę

Przypomnijmy sobie najpierw sytuację na odcinku czytelnictwa wiejskiego w ostatnich latach przed minioną wojną. Wydatki chłopów na książki, gazety i pocztę wynosiły w skali rocznej 1.60 zł — podaje J. Curzytek („Polezenie gospodarstw włościańskich w 1937/38 roku”) — charakteryzując stan z lat 1935/36. Wynika z tego, że chłop mógł przeznaczyć „na kulturę” tyle pieniędzy w ciągu roku, ile kosztował bilet do teatru. Innymi słowy mogli nabyć — jedną książkę co 12 miesięcy. W latach 1935/36 mieliśmy tylko 564 bibliotek gminnych, liczących łącznie 828.900 tomów. Na jedną książkę przypadało 33 mieszkańców wsi!

Bezpośrednio po wojnie — w latach 1945/46 sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. 410 bibliotek gminnych, jedna książka na 64 mieszkańców wsi w „starej” Polsce i 260 mieszkańców na Ziemiach Odzyskanych.

A obecnie? Na progu bieżącego roku mieliśmy już prawie 3000 bibliotek gminnych (ściślej — 2.913 — podaje „Rada Narodowa” Nr 1-2/49) liczących wraz z 20.000 punktów bibliotecznych — około 2.000.000 tomów. Wynika więc, że na jedną książkę wypada teraz 8 mieszkańców wsi. W trakcie realizowania planu 6-letniego stan ten ulegnie znacznej poprawie. Jeszcze w tym roku każda gmina będzie miała własną bibliotekę. W końcu roku 1955 każdy punkt biblioteczny obejmie 200 tomów, biblioteka gminna — 1.700 tomów (obecnie liczy przeciętnie 500 tomów) powiatowa 7.000—10.000 tomów.

Nowy skład społeczny Z. S. CH.

W ubiegłym miesiącu Związek Samopomocy Chłopskiej zakończył prowadzoną od kilku miesięcy akcję wyborczą do Zarządów Kół Z. S. Ch. na szczeblu gromadzkim, gminnym i powiatowym. Praktyka lat ostatnich wykazała, że do władz Z. S. Ch. na jego niższych piętrach przedostał się w dużym stopniu bogaty element chłopski, wykorzystując niejednokrotnie instytucję na własny użytek z pominięciem interesów biedoty wiejskiej. W konsekwencji pomoc państwa dla wsi, przeznaczona przede wszystkim dla małych i średnich chłopów, którą Z. S. Ch. miał rozprzestrzeniać w formie kredytów, nawozów sztucznych, koni, bydła i maszyn, była bardzo często przechwytywana przez bogatych chłopów, wodzących na podstawie tradycyjnego autorytetu nadal rolę w kołach gromadzkich, spółdzielniach i radach gminnych. Wiejskie elementy kapitalistyczne lokowały się za wszelką cenę w zarządkach gromadzkich czy gminnych jeszcze z innych względów. Wychodziły mianowicie z założenia, że będzie to najwygodniejsze miejsce, z którego łatwo będzie im torpedować każdy projekt, każdą inicjatywę i każdą robotę, poprzez którą ustrój chciałby poprowadzić przeważająca masa chłopska ku formom gospodarki społecznej, gwarantującej drobnorolnym gospodarzom i średniakom wyjście z chaotycznej i nierentownej gospodarki drobnorolniczej. Odsunięcie wrogich elementów od wpływów na niższy aparat Z. S. Ch. stało się koniecznością w imię interesów przeważającej masy

Czy jest to możliwe do wykonania? Przyjrzyjmy się faktom. Produkcja książek w 1948 roku wzrosła w stosunku do roku 1946 o 156 procent. W planie wydawniczym na rok bieżący, przedstawionym przez „Czytelnika” „Wiedzę” i „Naszą Księgarnię” przewiduje się wyprodukowanie 18.310.000 tomów. Jeżeli zsumować plany wydawnicze 24 spółdzielni wydawniczych i księgarskich, które opublikowały swoje zamierzenia wydawnicze, okaże się, że w bieżącym roku rzucą one na rynek 23.932.000 egzemplarzy książek. Wynika z tego, że same spółdzielnie wydawnicze wydadzą jedną książkę na każdego mieszkańca Polski. Oczywiście nie wszystkie wydawnictwa spółdzielcze ogłoszą dotąd swoje plany wydawnicze (dopiero 24 na 70 zrzeszonych). Pozostają jeszcze do uwzględnienia wydawnictwa państwowe i „prywatna inicjatywa”.

Istnieją więc realne, dające się uchwycić cyfrowo szanse na dostarczenie gminnym bibliotekom nowych książek. Szanse na powiększenie księgozbiorów dostępnych masowemu czytelnikowi chłopskiemu.

Wydaje się bowiem, że biblioteki gminne mogą odegrać podstawową rolę w upowszechnieniu czytelnictwa. Wiadomo, że jeżeli chodzi o czytelnictwo prasy, nasza bieżąca sytuacja przedstawia się znacznie lepiej niż w okresie przedwojennym. W roku 1938 na każde 1.000 mieszkańców Polski przypadało 17,5 czytanych egzemplarzy prasy codziennej, w 1948 na tę samą liczbę mieszkańców — 135 egzemplarzy dzienników. Wzrost o 770 proc. Fakt bardzo radosny, szczególnie

wsi. Pod tym hasłem przystąpiono do wyborów. Jakże są wyniki akcji?

W gromadach na ogólną liczbę 141 tysięcy członków zarządów kół wybrano: 18.411 bezrolnych, 26.440 gospodarzy do 2 ha, 42.541 do 5 ha, 43.920 do 10 ha, 10.137 do 20 ha i 204 gospodarzy, posiadających ponad 20 ha. Do Zarządów Gminnych na ogólną liczbę członków 21.710 wybrano: bezrolnych — 26 proc., gospodarzy do 2 ha — 20,3 proc., do 5 ha — 24,3 proc., do 10 ha — 24,5 proc., do 20 ha — 3,9 proc., ponad 20 ha — 0,02 proc.

Tak zreorganizowany oddolny aparat Z. S. Ch. daje dzisiaj gwarancję, że inwestycje państwowe, rzucane na odcinek wiejski, staną we właściwy sposób zużyte, będą skuteczną podniesienie i uintensywnienie drobnych gospodarstw w oparciu o zrzeszenia branżowe, ośrodki maszynowe i spółdzielnie gminne Z. S. Ch. Na obecnym etapie, gdy rozpoczynamy ostrą walkę o podniesienie produkcji rolnej, zwłaszcza na odcinku hodowlanym, gdy ze strony państwa idą na tę akcję duże sumy, gdy chłop — hodowcy mają otrzymać i pomoc i cały szereg usług — ważną jest rzeczą, że Z. S. Ch. jako instytucja między innymi opinii i kontroli społecznej, będzie w gromadzie i gminie reprezentowana przez element przychylny każdej inicjatywie, wysuwanej przez Polskę Ludową.

M. K.

jeżeli zważy się, iż prasa toruje najczęściej drogę książce, zapowiada i niejako z góry wyjaśnia treść wydawanych pozycji książkowych w zakresie literatury.

Ale prawdą jest również, że np. w województwie łódzkim w ciągu miesiąca działalności Komitetu Upowszechnienia Książki zdolało zwerbować zaledwie 752 prenumeratorów wydawnictw KUK, przeważnie zresztą z samej Łodzi. Tylko 2 proc. prenumeratorów stanowili chłopci.

Wiele można by wymienić przyczyn takiego stanu rzeczy. Pamięamy wydatki na książkę w przedwojennym budżecie chłopskim. Czy wydatki te są obecnie większe, stwierdzić trudno, nie ma bowiem odpowiednich opracowań. Być może, że chłopci mogą dziś przeznaczyć więcej pieniędzy na zakup książek. Nie można jednak zapominać, że książki są w dalszym ciągu jeszcze drogie. Dopiero wydawnictwa KUK oraz książki z rozmaitych klubów czytelniczych stanowią w tym zakresie wyjątek.

Czytelnik chłopski, który decyduje się na zakup książki, nie zawsze ma dostęp do dobrej książki. W małych miastach polskich jest obecnie 1.017 sklepów księgarskich, 492 społecznych i 519 prywatnych. Liczba duża. Jeżeli przyjmuje się, że jedna księgarnia powinna obsługiwać 5—7 tys. ludzi, to u nas, na terenie małych miast, obsługuje jedną księgarnia 4,5 tys. ludzi. Stosunek pozornie korzystny. Pozornie dlatego, że przeszło połowa to typowe drobne sklepiki. Jesienią — trochę szkolnych podręczników, w roku — kilkadziesiąt wątpliwych literacko i ideologicznie wydawnictw, nie odpowiadających zupełnie potrzebom społecznym chłopskiego czytelnika. Słynne sklepiki, handlujące raczej stalówkami i papeterią niż sprzedające wartościowe książki. W zakresie upowszechnienia kultury pozycje martwe, jeżeli wręcz nie szkodliwe. Bardzo często tego rodzaju „księgarnie” odrzucają wiejskiego czytelnika od książki.

Na tym tle funkcja społeczna bibliotek gminnych, ich szczególnie doniosła rola w upowszechnieniu czytelnictwa występuje szczególnie żywo. Gminna biblioteka jest przede wszystkim — jak to się mówi — „na miejscu”. Gwarantuje, na ile jest to dzisiaj możliwe — książki odpowiadające potrzebom czytelnika wiejskiego. Zestaw książek dokonuje się przecież planowo.

Czytelnik wiejski jest zróżnicowany. Np. ludowy nauczyciel pragnie się dokształcać. Oddalony często od miejskich ośrodków kulturalnych, przede wszystkim w gminnej bibliotece będzie szukał materiałów podbudowujących intelektualnie jego pracę. Podobnie każdy wiejski działacz społeczno-oświatowy, czy polityczny. Tysiące chłopskiej młodzieży, uczące się korespondencyjnie w średnich szkołach ogólnokształcących odwołują się do gminnej biblioteki po lekturę szkolną. Masy chłopskie sięgają tam po literaturę piękną i fachowo-rolniczą.

Jeżeli zakładamy, że w akcji upowszechniania kultury chodzi nam o wyprodukowanie nowej inteligencji ludowej, wiązanie jej i poprzez książkę z przebudową ustroju społeczno-gospodarczego i kulturalnego kraju, to musimy uwzględnić pierwszorzędną rolę bibliotek gminnych w realizacji tego zadania.

POLEMIKI

JAKIE SĄ FUNKCJE PAPIESTWA?

Otrzymałmy od jednego z naszych czytelników artykuł, który poniżej w całości zamieszczamy.

Red.

Ks. Jan Piwowarczyk zamieścił w Nr. 10 (208) „Tygodnika Powszechnego” artykuł pt. „Funkcje papieża”. Piszemy w nim między innymi:

„Urząd papieża jest trudny w normalnych czasach. Stokrotnie trudniejszy jest w okresie przełomu, jaki nam dano przeżywać w czasie wojny, i po wojnie. Pius XII pełni go z wielkim poczuciem odpowiedzialności za losy Kościoła... Mimo późnego wieku, codziennie przemawia do licznych osób przybywających z całego świata i nie tylko do katolików. Korzysta z każdej okazji, która się następuje, by bezpośrednio — przez radio — zachęcać, upominać lub pouczać narody oddzielone od Rzymu morzami lub kontynentami.

Żyje w nim świadomość wielkiej funkcji papieża w świecie i w historii”.



Po tym wstępie określa funkcje papieża. Oto pierwsza:

„Pierwsza z nich — stwierdza — jest funkcją strażnika wiary. Troska o nieskażenie boskiego depozytu Objawienia”.

A oto druga:

„Mówi się także o kulturalnej funkcji papieża. I wymienia się cały szereg jego zasług z dziedziny kultury, jak zasługi na polu sztuki, na polu ratowania antyku, rozwoju nauki itp. Ale nie to stanowi właściwą funkcję papieża w zakresie kultury. Stanowi ją kształtowanie kultury moralnej. Kościół a wraz z nim papież — jest nie tylko na to, by tworzyć ład w naszych umysłach — ład prawdy, ale także na to, by tworzyć ład w naszych obyczajach — ład moralny”.

To mówi ks. Piwowarczyk.

W 1947 roku wyszła w Londynie książka Arno Manhattana pt. „The Catholic Church Against the Twentieth Century” czyli „Kościół katolicki wobec XX wieku”.

Autor książki kreśli jednak inny obraz Watykanu. Mówi w niej, że Watykan stanowi centrum — ale polityczne, które miało 52 przedstawicieli dyplomatycznych w postaci nuncjuszy, posłów, osobistych przedstawicieli Ojca św. itd. — w różnych krajach. I obywateli — byli tylko przedstawiciele dyplomatyczni! „Ponieważ każdy duchowny — stwierdza Manhattan — jest faktycznym agentem Watykanu i posiada możliwości zbierania autentycznych wiadomości o warunkach życia w swojej parafii (bądź, jeśli jest biskupem, w swojej diecezji), tak więc Watykan, do którego wysła się te wszystkie informacje, staje się jednym z najlepszych ośrodków — na świecie — informacji o charakterze ekonomicznym, społecznym i politycznym”.

A czy ks. Piwowarczyk zaprzeczy tym faktom?!

Pomyślałby jednak ktoś, być może — kontynuuje Manhattan — że Watykan rozbudował ten cały wielki i rozwidlony aparat polityczny rzeczywiście dla dobra społeczeństwa, albo ludzkości, albo mas pracujących, albo demokracji.

„Po przewrocie faszystowskim we Włoszech w 1922 roku — pisze Manhattan — polityka Watykanu nabierała coraz to bardziej określonego charakteru, a jego związek z siłami reakcyjnymi stawał się coraz bardziej oczywistym. Prawie w całej Europie — od Hiszpanii do Austrii, od Włoch do Polski — do władzy dochodziły reakcyjne dyktatury, nader często przy jawnym poparciu Watykanu. Porzuciwszy stare metody Watykan zaszedł tak daleko, że nakazywał rozwiązywanie jednej partii katolickiej za drugą, tylko z tego względu, by umożliwić faszystowskiemu — naprzód we Włoszech, później w Niemczech — utrwalenie władzy. Papież Pius XI mówił niejednokrotnie, że pierwszy faszystowski dyktator (Mussolini) był „człowiekiem zesłanym przez opatrzność”. Ostrzegając wszystkich wiernych na całym świecie, że „żaden wierny katolik nie może być socjalistą” wydał encyklikę, w której proponował wszystkim krajom katolickim tworzyć faszystowskie państwa korporacyjne. Gdy państwa faszystowskie rozpoczęły agresję, Kościół katolicki okazał im pośrednią, a częściowo bezpośrednią pomoc.

Gdzie indziej Manhattan pisze, że w tym samym czasie, gdy Watykan obdarzał sympatią ruchy faszystowskie wszelkich autoramentów — równocześnie całą swą nienawiść skierował przeciwko ZSRR.

„Od samego początku rewolucji rosyjskiej (1917 r.) — stwierdza Manhattan — Watykan dążył do jednego zasadniczego celu: skupienia wszystkich reakcyjnych sił i krajów w trwały blok przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jedną z zasadniczych przyczyn poparcia, jakim Watykan darzył Hitlera, było dążenie do stworzenia silnego, wrogości Związkowi Radzieckiemu państwa,

które mogłoby być czymś w rodzaju muru chińskiego, tamującego przenikanie rosyjskiego bolszewizmu na Zachód. Watykan miał także nadzieję, że to państwo koniec końców zdoła zniszczyć Związek Radziecki.

W 1936 r. Kościół katolicki rozpoczął „święty pochód krzyżowy” przeciwko bolszewizmowi. By zapewnić sukcesy tej kampanii, potrzebna mu była pomoc faszystów i nazistów, które nienawidziły komunizmu z taką samą siłą jak on”.

Na ołtarzu tej nienawiści złożył także Polskę. Ale zrobił to już papież Pius XII, który zasiadł na tronie watykańskim po śmierci Piusa XI i którego rocznicę święci w swym artykule ks. Piwowarczyk. Otóż Pius XII — stwierdza Manhattan — był dokładnie poinformowany o zamierzonej przez Hitlera agresji na Polskę. Ale „Hitler prosił papieża — pisze Manhattan — po pierwsze, nie potępiać publicznie tej agresji, po wtóre, nie podburzać katolików w Polsce do oporu wobec hitlerowców, a na odwrót, zjednoczyć ich w „świętej wyprawie” przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Papież wypełnił prośbę Hitlera. Ale Pius XII nie poprzestął tylko na prostym wypełnieniu prośby Hitlera. Po klęsce wrześniowej przedsięwziął kroki dyplomatyczne, by Francja zawarła separatystyczny pokój z Niemcami. Tych kroków nie zaprzestanie przez cały okres wojny. Po upadku Francji — zwrócił się z analogicznymi propozycjami do Stanów Zjednoczonych. Przez cały okres wojny — jak dowodzi Manhattan — prowadził politykę na rzecz zawarcia separatystycznego pokoju z Niemcami. Po wojnie zawarł przyjaźń z Waszyngtonem. „Watykan i Stany Zjednoczone — pisze Manhattan — związane są wspólnymi interesami w różnych wewnętrznych i zewnętrznych dziedzinach. Kościół katolicki występuje zdecydowanie przeciwko zasadom społecznej i politycznej demokracji. Cała polityka Kościoła katolickiego od początku XX wieku była skierowana na to, by za pomocą związków z różnymi ruchami reakcyjnymi przeszkadzać swobodnemu rozwojowi narodów. Stąd jego bezpośredni i pośredni wpływ na życie polityczne Europy i poparcie udzielane przezeń dyktatorom faszystowskim. Ta polityka uczyniła współpracę amerykańsko-katolicką niezwykle bliską”.

Taki jest obraz Watykanu, kreślony przez Manhattan’a:

Obrazy kreślone przez ks. Piwowarczyka i Manhattan’a są z sobą całkowicie niezgodne. Pierwszy umieszcza Watykan tylko na idealistycznej płaszczyźnie wiary i sumienia. Drugi ustawia go w konkretnej sytuacji społeczno-historycznej. A obraz przezeń kreślony jest tym bardziej przekonujący, że przecież papieżstwo — jak świadczy historia — nader często ingerowało w sprawy polityczne, i to nie tylko w charakterze obrońcy wiary, ale po prostu — konkurenta albo partnera politycznego. Jak zaś pokazało wielu historyków papieżstwa, Watykan nie był wcale tak niewzruszony w dziedzinie moralności — jakim by chciał go zrobić ks. Piwowarczyk.

Ciekawi mnie więc dlaczego ks. Piwowarczyk te strony papieżstwa pomija milczeniem? Dlaczego nie włącza w swoje rozważania zarzutów stawianych Watykanowi z różnych stron (w konkretnym wypadku przez angielskiego pisarza, Manhattan’a).

K. Z.

(nazwisko znane redakcji).

My ze swej strony przypuszczamy, że ks. Piwowarczyk udzieli odpowiedzi. (Red.)

OŚWIADCZENIE

W n-rze 7 „Wsi” z dn. 13 lutego br. pojawił się artykuł pt. „W sprawie kanonizacji ks. Stojalowskiego” podpisany przez ob. Józefa Choczyskiego, w którym to artykule ob. Choczyski zarzucił mi między innymi, że: 1) „moja rola w PPS musiała być mocno zakomspirowana i tajemnicza” (z czasów przed I wojną światową), 2) że w r. 1913, jako „chrześcijański-narodowy związkowiec biegałem po wsiach z listem pasterskim biskupów gro-miącym radykalizm społeczny i dopomagałem endeckom do zwycięstwa w kurialnych(?) wyborach), 3) że byłem niegdyś endekiem, bo mi „endecy niewiele dawali”.

W odpowiedzi na te nieprawdziwe zarzuty wyjaśniam co następuje:

1) Że moja rola w PPS nie była tajemnicza ani zakomspirowana, świadczy list Naczelnego Redaktora organu PPS „Prawa Ludu”, Z. Klemensiewicza, wystosowany do mnie dnia 28.3.1918 r., a dziękujący mi za nadesłany artykuł z prośbą o dalsze. (Legalizowany duplikat listu znajduje się w redakcji „Wsi”). Artykuł ten był podpisany moim pełnym imieniem i nazwiskiem.

2) W latach 1912—1913 służyłem w wojsku austriackim w Czechach w tzw. „Kampanii Bośniackiej”, późną jesienią

Tygodnik „Dziś i Jutro” drukuje ostatnio cały szereg artykułów rewidujących wiele mniemań o społecznych konsekwencjach, a wynikających ze światopoglądu katolickiego. W pełni doceniając te niewątpliwie pozytywne objawy (rewizja bowiem poglądów zmierzająca ku dyskredytacji tendencji zgola wstecznych) nie możemy jednak powstrzymać się od całego szeregu krytycznych uwag. Dotyczy to w całej rozciągłości artykułu Wojciecha Kętrzyńskiego „U źródeł społecznych konfliktów” zamieszczonego właśnie w „Dziś i Jutro”. Niewątpliwie zawarta w nim polemika ze Stefanem Michno, broniącym w rezultacie zasady zgodności społecznej wszystkich klas, jest trafna i bardzo słuszną, niewątpliwie też funkcja społeczna wypowiedzi Kętrzyńskiego stanowi moment pozytywny, ale... I tu zaczynają się liczne „ale”.

Przedewszystkim: Kętrzyński dzieli wszelkie ideologie na postępowe i konserwatywne, przy czym za wyróżnik rozgraniczenia nie służy tu nigdy ich rola socjalna. Konserwatyzm ma się rzekomo wyrażać po prostu w „nadmiernej przywiązaniu do form życia istniejących, do status quo, co podlega za sobą gotowość do walczenia przeciw wszelakim zmianom, które przynoszą korzyści ogółowi, a nie wyłącznie jednostce, czy grupie jednostek zainteresowanych”. Od razu pytanie... O jakie formy życia („Lebensformen”) jak mawiał znany idealistyczny teoretyk kultury Edward Spranger) rzecz idzie? Czy postępowość to negacja ich wszystkich, czy też części tylko? Nie wiemy i, jeśli pan Kętrzyński nas bliżej nie objaśni, wiedzieć nie będziemy.

Znowu nasuwa się nieprzyjemna refleksja. Przecież faszyzm w ramach tej definicji nie jest światopoglądem wstecznym. Chciał przecież zburzyć status quo ante, nie miał napewno „nadmiernej przywiązania do form życia istniejących”. Przeciwnie, zapowiadał wielką przebudowę, rekonstrukcję świata od podstaw. Tak to jakoś niewyraźnie z kryteriami pana Kętrzyńskiego, bardzo niewyraźnie...

Ale oto sprawy zaczynają się nieco wyjaśniać. Okazuje się, że teoriopoznawczym odpowiednikiem konserwatyzmu jest filozofia humanistycznego sceptycyzmu (czemu nie sceptycznego humanizmu? można przecież i

tak i tak)... Na koniec przekonujemy się, iż pod tym pięknym terminem kryje ma się przeświadczenie o „złej” naturze ludzkiej, wobec czego przeświadczenie o jednostkach tworzących w samotności kulturę, o elicie, która jej broni przeciw nacierającym masom barbarzyńców.

A więc po prostu estetyczne teoryjki secesji. I to niby miał głosić każdy konserwatyzm, zawsze, wszędzie? I to niby ma stanowić jego „istotę”? Przecież zajmujemy się historią a nie badaniem jakichś ponadczasowych typów postaw duchowych poszczególnych ludzi. Chyba nie będziemy tu raz jeszcze wyprowadzać, w ślad choćby za Arturem Koestlerem, analogii między jogą hinduskim, a komunistycznym komisarzem? Wsteczność pewnej ideologii zawarta jest bowiem nie tylko w jej filozofii, w jej teoriopoznawczych założeniach, lecz także w funkcji, którą te w danym konkretnym społeczeństwie pełnią. Temu zaś pan Kętrzyński zdaje się swym artykułem uparcie przeczyć.

Nie tylko „humanistyczny sceptycyzm” (dlaczego niby humanistyczny? wie to chyba tylko pan Kętrzyński i jego spowiednik) reprezentował konserwatyzm i nie zawsze zresztą był on tak koniecznie wsteczny.

Oczywiście dla kogoś badającego historię z „wzryną” ponadczasowych” sprawy te mogą przedstawiać się w taki właśnie sposób. Ale czy znowu trzeba tak od razu, tak na gwałt rozważać wszystko sub speciei aeternitatis... I czy ostatecznie najnowsza rzekomo postawa konserwatyzmu stał się rzeczywiście kult pieniądza?

Faszyzm nie mówił o kulcie pieniądza. A przecież nie można chyba powiedzieć i, jak sądzę, pan Kętrzyński nie miał tego w żadnym wypadku na myśli, by Hitler i Mussolini stanowili czołowe postacie postępowych ruchów społecznych.

Artykuł Wojciecha Kętrzyńskiego czytałem wraz z pewnym znajomym, który po skończeniu go, złożył z przerażeniem ręce i zawołał na cały głos: (a był to katolik, proszę państwa): „ach, Boże, jak tu laurowo i ciemno!”

Jerzy Cios

Niechęć do proletariatu

Mój obrachunek literacki pt. „Klasową drogą” zamieszczony w N-rze 6 „Wsi” odbił się już pewnym echem. Jedno małe, zaklamowane nawiasami zdanie w zdaniu ukłóło boleśnie kol. Jana Baranowicza, że odciał się niemal 60 wierszami w 7 numerze „Odry”. Kol. Baranowicza ukłóło zarówno to, że nazwałem go „pseudokrytykiem”, jak również fakt, że przypomniałem mu o „specjalnym podcięciu mi nóg”. Piszę więc między innymi: „Pogan tak długo nosił w sobie urazę do mnie, aż znalazł okazję, żeby siebie zareklamować, a mnie lupnąć kłonicą”. A dalej znów: „...mój antagonista insynuując mi wypowiedzi, których nie umiem znaleźć ani w mej pamięci, ani w charakterze...”

Mnie to wcale nie obchodzi, że kolega J. Baranowicz zapomniał o wypowiedzianej pogroźce „podcięcie mi nóg”, czy też o sugerowaniu mi w swej recenzji mego „psychicznego urazu do bogaczy”. Przypominam więc, iż kolega Baranowicz zapowiedział mi po parę razy to „podcięcie nóg”, a nie znalazłszy widocznie innego sposobu — zarzucił mi choć



ów „uraz psychiczny do bogaczy”. Dla porządku przytaczam więc ową wzmiankę z recenzji w „Odrze” z dnia 8 czerwca 1947 r. „...autor (tj. Pogan) cierpi na pewien uraz psychiczny — palącą niechęć do proletariatu wsi do bogaczy. Stąd te niektóre przesadne — rzekłbym — porachunkowe ustępy książki...”

Wszyscy ci, co przeczytali „Ugory”, zaprzeczają słowom kolegi Baranowicza. Chodź jednak o tych, co nie czytali „Ugorów”, a natomiast przeczytali ów ustęp w „Odrze”. Doszli zapewne do przekonania, że pisarz z klasy biedniackiej specjalnie mści się na bogaczach — biczuje ich niewinnie... że nie ma sumiennej, obiektywnej twórczości itd. I co gorsza — iż może specjalnie jest przez odpowiednie czynniki do smagania bogaczy „podstawiony”...

Uważam, że autor nie powinien odpowiadać na złośliwe docinki krytyka. Ale gdy miałem możliwość wypowiedzenia się, to rzekł to i owo. I bynajmniej nie we własnej obronie, a tylko w obronie prawdy, „świętej racji” — jak się to mówi. Niestety, kol. Baranowicz uważa to za zemstę z mej strony. Jeśli lekki „cios” za silne i niesłuszne kropnięcie można nazwać zemstą — jak twierdzi Baranowicz — to czym można nazwać podwójną jego napastliwą wypowiedź? To już — powtarzając za Baranowiczem — naprawdę należy do złych cech charakteru niechętnych wobec proletariatu.

Józef Pogan

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi”

ZA ROK 1947 I 1948

CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOŚI 1500 ŻŁ.

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080, Redakcja Tyg. „Wies” z zastrzeżeniem „za rocznik „Wsi” rok 1947 ew. 1948”.

ADMINISTRACJA TYG. „WIES”

Z poważaniem
Maciej Czula

Sami nie możemy sobie poradzić

Potulice, dnia 28.2.49 r.

Do
Redakcji tyg. „Wiś”
Łódź

Z okazji zjednoczenia się dwóch partii PPR i PPS górnicy Zabrze-Wschód po-
budzili nas do wysiłku pracy. Górnicy po-
stanowili, że w swoich kopalniach wykopią
więcej węgla niż dotąd.

Pierwsza szkoła w Pławowie wzięła
wzór z górników. My postanowiliśmy so-
bie, że też uczymy ten dzień.

Stanęliśmy do wysiłku ze szkołą w Ru-
nowie w pracach ręcznych. Zbieramy
szyszki nasienne. Zbieraliśmy kasztany i
żołędzie. Zbieramy szyszki, czy jest pogo-
da, czy jest zimno. My jesteśmy podzielo-
ni na poszczególne grupy i prowadzimy
wysiłek, która grupa najwięcej zbierze. Oto
są wyniki naszej pracy: szyszek zebraliś-
my 2.000 kg, kasztanów 250 kg, żołędzi —
500 kg. Czysty zysk przeznaczony jest na
potrzeby szkoły. Zbieramy dużo szyszek,
bo nasza szkoła została zniszczona przez
okupanta.

Zdejmowaliśmy starą polepę z obory i
objaśnialiśmy plot naokoło boiska szkolnego.
Wszystko robimy, co tylko się da. W na-
szej szkole oberwał się gzyms i nie było
komu go naprawić, zgodziliśmy jednego
murarza i posłaliśmy mu wzamian za jego
pracę wybrać kartofle. Staramy się, żeby
nasza szkoła nie była gorsza od innych
szkół. Inne szkoły, np. w Tarnowie, Rud-
rązu, Runowie są piękne.

Nie mamy porządnych ławek i ciągle
nam coś potrzeba. Nasza gromada stara
się też o szkołę. Rodzice nasi pracowali do
późna w noc przy rozbiuraniu obory i bu-
dynku szkolnego.

Staramy się o naszą bibliotekę szkolną.
Ale sami nie możemy sobie poradzić.
Książki są takie drogie. Za nasze składki
kupiliśmy tylko kilka nowelk. Może i Re-
dakcja coś by uczyniła. My chcemy czy-
tać dużo książek. Może Redakcja by nam
przysłała kilka książek, bardzo o to pro-
simy. Z wdzięcznością będziemy Szanowną
Redakcję wspominać. My nie mamy wiele
książek do lektury. Tylko gdzieś, ktoś
stare książki przyniesie do domu i z tego
korzystamy, bo na nowe nie mamy go-
tówki. Nam przykro, że nie mamy dosyć
książek i co mamy robić?

Nasi rodzice są biedni i nie mogą kupić.
W imieniu klasy siódmej życzy Redakcji
dalszego rozwoju.

Kaczmarek Halina
Potulice, p-ta Brzeźno Nowe,
pow. Wągrowiec

Amerykańska wolność handlu

Politycy waszyngtońscy nazywają Stany
Zjednoczone krajem wolności handlu. Han-
del jest — ale wolność? Trzeba raczej mówić
o stosowanej przez Stany Zjednoczone dys-
kryminacji w zakresie handlu. Głosząc zasadę
wolności handlu Stany Zjednoczone stosują
różnorakie, nader perfidne ograniczenia w
stosunkach handlowych z krajami Europy
Wschodniej. I przymuszają do prowadzenia
tego rodzaju polityki swych satelitów w Eu-
ropie Zachodniej. Czechosłowacki minister
spraw zagranicznych Clementis oświadczył,
że rząd Stanów Zjednoczonych odrzucił ko-
losalną większość podań firm amerykańskich
o licencje na eksport towarów amerykańskich
do Czechosłowacji. Przerwano nawet wyko-
nywanie już optacyjnych zamówień. Dalej.
Rząd Stanów Zjednoczonych nie dopuścił, by
Polska zakupiła potrzebne jej towary, jak ba-
wełnę, kondensatory, aparaturę radiową itd.
Dalej. Nie dopuścił do eksportu urządzeń
naftowych do Rumunii i na Węgry. Z in-
icjatywy Stanów Zjednoczonych utworzono
w r. 1948 angielsko-amerykański komitet kon-
trolli eksportu do krajów Europy Wschodniej.
Cel tej polityki gospodarczej jest tak samo
jasny, jak nie podlega już wątpliwości cała
imperialistyczna polityka Stanów Zjednoczo-
nych.

Jedno jest jednak ciekawe. Mimo tych
wszystkich zakazów eksportowych rozwój
gospodarczy ZSRR i krajów demokracji ludo-
wej — jak to przyznają z bólem serca na-
wet burżuazyjni ekonomiści — odbywa się
znacznie szybciej niż w krajach kapitalistycz-
nych. Pódezas gdy w ZSRR i krajach demo-
kracji ludowej wykres produkcji i stopy ży-
ciowej ludności stale się podnosi — tam wy-
kres też się podnosi — ale wstrząsających tru-
dności gospodarczych i nieuchronnie nadcią-
gającego kryzysu.

N. N.

Wiara w równość

Jeden z artykułów „Karty Narodów Zje-
dnoczonych” zawiera zobowiązanie do „za-
akcentowania... wiary w podstawowe prawa
człowieka i w równość między kobietą a
mężczyzną”. W 10 numerze „Zielonego Sztan-
daru” Zofia Tomczyk wykazuje, jak wyglą-
da „równość” między kobietą a mężczyzną
w krajach kapitalistycznych.

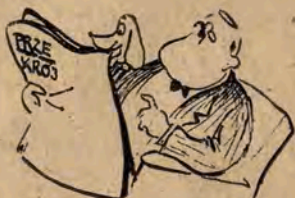
FAKTY i ZDANIA

Okazuje się, że „w Stanach Zjednoczo-
nych zarobki kobiet od mężczyzn są niższe
od 15 proc. do 20 proc. W Anglii płaca ko-
biet jest o 50—55 proc. niższa od płacy
mężczyzn. W Belgii kobiety otrzymują 80
proc. płacy mężczyzn. Za tę samą pracę. W
Szwajcarii płaca robotnicy wynosi 69 proc.
płacy robotnika, a pensja urzędniczek 50
proc. pensji urzędnika. W Norwegii płaca
kobiet wynosi dwie trzecie płacy mężczy-
zny. We Francji różnica ta waha się ok. 8
proc. We Włoszech kobiety za pracę otrzy-
mują np. w branży tekstylnej 81 proc.
W Szwajcarii i Sycylii — 55 proc. W Turcji 92
proc. kobiet jest dotychczas analfabatkami”
(podkreślenie nasze).

Piękne pokłosie wiary w podstawowe pra-
wa człowieka i w równość między kobietą
a mężczyzną! Jeśli dodamy do tego jeszcze
ograniczenia praw obywatelskich kobiet w
państwach kapitalistycznych, wówczas stanie
się zrozumiałe, dlaczego w przeciągu cze-
rech lat istnienia Światowa Demokratyczna
Federacja Kobiet potrafiła skupić w swoich
szeregach w walce o pokój i prawa dla ko-
biet organizacje kobiece z 52 krajów całego
świata!

t. p.

Przekrojowy nonsens



Są nonsensy paradoksalne i paradoksy non-
sensowne. Zbigniew Rogowski w 204 numerze
„Przekroju” — łączy i miesza obydwie. I co
wynika? Absurdalne pure. Nonsens bez ża-
dnych przymiotników. Całkowity. Otóż na bez
mała kolumnie przekazuje Rogowski czyteln-
kowi opowiadanie jakiegoś aresztowanego
hitlerowca, który jakoby wywiózł Hitlera
i Ewę Braun z obłożonego Berlina. Opowia-
danie jest pełne szczegółów. Jak to Ewa Braun
zapomniała futra, jak to samolot znalazł się
pod ostrzałem artyleryjskim itd. itd. Niczym
w kryminalnej powieści — tym ciekawszej, że
autentycznej. Ale niestety. Pod koniec opo-
wiesci czytelnik dowiaduje się, że „w rzeczy-
wistości śmierć Hitlera jest faktem niewątpli-
wym. Wersja o jego ucieczce z Berlina, a
zwłaszcza skutecznym ukrywaniu się przez
tyle lat — jest kompletnym nonsensem. Nie
przeszkadza to jednak hitlerowcom tworzyć
coraz to nowe mity dookoła osoby mimo wszy-
stko żyjącego Hitlera”. Można jeszcze zrozu-
mieć, dlaczego hitlerowcy tworzą plotkę o
żyjącym Hitlerze — ale o wiele trudniej zro-
zumieć, dlaczego niektórzy polscy dziennika-
rze tymi plotkami zapelniają szpalty polskich
pism. O ile „mit o żyjącym Hitlerze” jest
nonsensem — to czym jest ten nonsens zamie-
szczony w polskim piśmie? Kogo zaś intere-
suje? Może by na to pytanie odpowiedział
autor artykułu o żyjącym-nieżyjącym Hitle-
rze. Bo nam się wydaje, że tylko kółtunów.
N. N.

„Mała przepierka”



Szanowny p. Redaktorze!

W 10 numerze „Przyjaciółki” zwrócił moja
uwagę artykuł pt.: „Mała przepierka”.
Autorka (nie przypuszczam, aby coś podob-
nego mógł napisać mężczyzna) wyjaśnia naj-
pierw, jak prac bluzeczki, koszule dla męża,
pończochy, skarpetki, chusteczki do nosa i
kończy w ten sposób: „Robotą pójdzie nam
łatwo i szybko, jeśli dopomoże nam — ma-
ż. To znaczy: rozpał ogień, postawi na płycie
ciężki garnek z wodą, będzie wylewał z mi-
ski brudną wodę i nalewał ciepłą, wycisnie
z wody uprane już sztuksi, wreszcie — jeżeli
nie ma ruchomego stojaka — suszarki — roz-
ciągnie sznurek do zawieszania upranych
rzeczy...”

No a jak nie ma odpowiedniego sznurka?
Czy wtedy obwiesza się męża bielizną i wy-
stawia na słońce? Chodzi mi jednak o sprą-
wę daleko poważniejszą. Kobieta w ustroju

socjalistycznym to przecież nie przysłówiowa
kura domostwa, zajęta od rana do nocy przy
kuchni i nad balia, wciągająca co gorsza w
te zajęcia i mężczyzn. Z racji Międzynarodo-
wego Dnia Kobiet pisano wiele o nowym ty-
pie kobiet, czynnych w życiu społeczno-po-
litycznym. Czy będzie nią kobieta urobiona
przez „Przyjaciółkę”? Chyba nie. Jak nazwać
pismo, które czyta podobno 1.200.000 kobiet,
które zachęca te kobiety do pozostania w
kręgu kuchni i wzywa je do angażowania
mężczyzn w „małą przepierkę”? Przyjaciół-
ka? Nie — nieprzyjaciółka. I kobiet i męż-
czyzn.

P. S. Przecież są pralnie.

al.

Chcę podkreślić silnie



Szanowny Redaktorze!

Z uwagą i ciekawością śledzę we „Wiś” ar-
tykuły mówiące o przebudowie gospodarki
rolnej w Polsce. Ale mija już prawie miesiąc
od chwili uchwały Komitetu Ekonomicznego
Rady Ministrów o powołaniu do życia nowe-
go przedsiębiorstwa pod nazwą „Państwowe
Gospodarstwo Rolne”. A w nic o tym nie na-
pisaliście. Dotychczas majątki ziemskie nale-
żące do państwa administrowane były przez
trzy instytucje: Państwowe Nieruchomości
Ziemskie, Państwowe Zakłady Hodowli Ro-
ślin i Państwowe Zakłady Chowu Koni. Przez
połączenie tych trzech instytucji w jedno
„Państwowe Gospodarstwo Rolne” nie tylko
zaoszczędzi państwo na wydatkach (zmniejs-
szą się koszty administracyjne chociażby, nie
mówiąc już o kosztach produkcji), ale zyska
poważny instrument w walce z wrogami kla-
sowymi na wsi.

Pomyślcie, Redaktorze, w różnych częściach
Polski powstają teraz wzorowe socjalistycz-
ne gospodarstwa rolne. Nie chcę Wam w tej
chwili pisać o produkcji tych gospodarstw,
o zadaniach dostarczania wsi rasowego in-
wentarza oraz selekcyjonowanych, kwalifiko-
wanych nasion różnych roślin, o zadaniach
zespółonych gospodarstw państwowych, jako
producentów artykułów żywnościowych dla
robotników w miast. Chcę podkreślić silnie
inny, niemniej istotny moment.

Państwowe Gospodarstwa Rolne przekonają
często nie niechętnych, lecz nieświadomych
chłopów o wyższości gospodarki socja-
listycznej nad indywidualną. Przekonają tak,
jak obecnie przekonują się chłopci powra-
cający z wycieczek do ZSRR. Państwowe Go-
spodarstwa Rolne staną się praktycznymi
szkołami gospodarki socjalistycznej i odegra-
ją dużą rolę w okresie przebudowy ustroju ro-
lnego w Polsce.

A. Kwiecień
pow. stopnicki

5 marzec 1949 r.

Budujemy gminę!



Gmina Rudniki nie jest w tyle, jeżeli cho-
dzi o pracę ZSCh. Wprawdzie w pierwszych
latach, to jest 1945-46 roku, kiedy do innych
gmin docierała odpowiednia wiedza o zna-
czeniu ZSCh, gmina Rudniki, leżąca na
samym krańcu pow. wieluńskiego nie była
należycie obsłużona przez ludzi znających się
„na rzeczy”. Lecz po trzech latach ścisłej
współpracy z zarządem pow. ZSCh, dopro-
wadziliśmy do pomyślnego rozwoju. Obecnie
mamy już 10 kół gromadzkich ZSCh, o o-
gólnej liczbie 780 członków. Nowo-wybrane
zarządy gromadzkich wraz z zarządem gmin-
nym obmyślają możliwości zbierania kam-
ieni po polach (od których się aż bieli).
Kamienie wzieźmy w najgorsze punkty
drog i dokonamy reperacji. Planujemy zało-
żenie Gminnej Spółdzielni Samopomocy
Chłopskiej z siedzibą w Jaworznie, z dwiema
filiami w Rudnikach i Żytniowie (nie wyła-
czając założenia w myśl planu dwóch dal-
szych filii we wsiach typowanych jako wzo-
rowe). Nie od rzeczy będzie wspomnieć o
powstaniu trzech kół gospodyń wiejskich z
ogólną liczbą 75 członkiń.

Zarząd gm. ZSCh skierował na kurację do
uzdrowisk pięciu członków ZSCh. Troszcząc

się o zdrowie chłopów skierował na kurs sa-
nitarny jedną z członkiń koła gospodyń wiej-
skich. Dwóch młodych chłopów wysłaliśmy
na kurs traktorzystów i jednego na kurs
szkoleniowy Ośrodka Maszynowego.
Rudniki, 2.3.49.

Kasprzak Piotr

Raj nieutracony



W numerze 10 tyg. „Dziś i Jutro” zamieścił
p. Józef Derewieński artykuł pt. „W cieniu
katolickiej kultury”. Czytamy w nim: „W
ogólnie rzecz ujęciu ucieka się od zmy-
słowego konkretności do czystej abstrakcji, re-
zygnuje się z jakościowego pojmowania
świata i życia, na korzyść pozamysłowej
konstrukcji z najpierwotniejszych, zasadni-
czych elementów. Dzieje się to nie tylko w
dziedzinie wiedzy ścisłej. Sztuka wszelkiego
rodzaju, będąca swoistym odbiciem rzeczy-
wistości w kategoriach piękna, obyczajów, któ-
re są formą dostosowania się do niej w życiu
praktycznym, słowem, wszystko co składa
się na kulturę człowieka, nosi na sobie piętno
abstrakcjonizmu”.

I to tak ma się dziać — wg Autora — z
kulturą dzisiaj. Czyżby? Miał chyba rację
Stefan Żółkiewski, kiedy mówił o pisarzach
katolickich: „...Mówią o świecie tyle, ile po-
zwala agnostycyzm psychologiczny i natura-
listyczny... Powieści te (katolickie) ukazują
tuman mgły a nie obraz świata. Stwierdził
to każdy czytelnik, który wprost nie potrafił
nawet umiejscowić w czasie akcji tych książ-
zek. Dzieje się one nigdy i nigdzie!”

Akurat tak samo z artykułem p. Derewień-
skiego. Jego rozważania o trzech chorobach
katolicyzmu — fideizm, tradycjonalizm i re-
sentymentalizm uciekają naprawdę od rze-
czywistości historycznej w rąską dziedzinę
abstrakcji, gdzie wszystko jest możliwe, na-
wet abstrakcyjna kultura.

„Zawsze pełniej odczuwa się wartość rze-
czy posiadanej, gdy się ją utraci, ale nie
zawsze ma to dobre skutki, bo nie zawsze da
się odrobić straty” — pisał pan Derewieński.
I ma zapewne na myśli samego siebie. Nie
łatwo mu bowiem teraz będzie wrócić do po-
jęcia kultury jako wartości historycznej,
związanej zawsze z konkretną epoką.

I. S.

SPROSTOWANIE

W moim artykule pt. „Wrocław, Wro-
cław, Wrocław!” („Wiś” Nr 8/49) popełniłem
kilka omyłek. Zwróciła mi na nie uwagę
p. Irena Turnau, autorka pracy socjograficznej
o Wrocławiu, pracy — na której w głównej
mierze opierałem się. Błędy te niniejszym
prostuję. Są to:

1. Bierni zawodowo mieszkańcy miasta
Wrocławia nie stanowią 0,9% ogółu ludności,
choćby z tego powodu, iż już w roku 1947
dzieci poniżej lat 14 obejmowały ok. 12%
mieszkańców. Liczbę 0,9% biernych zawodo-
wo należy zatem odnieść wyłącznie do do-
rosłych.

2. Zreformowane przeze mnie pochodzenie
regionalne mieszkańców miasta Wrocławia
może mieć wartość jedynie orientacyjną, po-
równawczą. Zagadnienie pochodzenia regio-
nalnego mieszkańców miasta Wrocławia
przedstawił szczegółowo Stefan Gołachowski
w artykule „Miasto przemian społecznych”
 („Wiś” nr 43/48).

3. Obraz emigracji z niektórych województw
ze względu na pochodzenie mieszkańców
Wrocławia z różnych typów osiedli przedsta-
wiał się w przybliżeniu w sposób podany w
tabelce w końcu roku 1947 a nie w końcu ro-
ku 1945.

4. Termin „miasteczko” w nagłówku tej
tabeli użyty w odniesieniu do miast liczących
poniżej 100.000 mieszkańców powinien być
wyjaśniony. Chodzi tu o średnie i małe mia-
sto.

5. Danych o inteligencji wrocławskiej nie
brałem z pracy p. Ireny Turnau. Podana cy-
fra 1,2% ogółu odnosi się do tzw. wolnych
zawodów.

Wiesław Jajdżyński

W NUMERZE 11 (190) TYGODNIKA „WIEŚ”
z dnia 13 marca 1949 r.

Ladislav Stoll — Sztuka wobec rzeczywi-
stości; Tadeusz Orlewicz — Droga Czecho-
słowacji; Józef Choczyński — Teatr na try-
bunie sejmu galicyjskiego; Bedrich Vaclavek
— Czeska poezja proletariacka; Władysław
Wojcik — Los chłopcy tu i tam; Stanisław
Cieslak — Aparat cywilizacji technicznej na-
rodu; Piotr Chmura — Zmartwienia „libera-
ła”; Stanisław Kostka Neumann — 28 paź-
dziernika 1918 (wiersz); Stefan Żary — Żo-
nierze i fontanny (wiersz); Marietta Szaginion
— „Kalewala”; Listy; Marian Minias — Z Ło-
wickiego, Paweł Chadaj — Z ubogiej części
Lubelszczyzny (projekt do dyskusji); Ludwik
Mlot — Na Podhalu; Polemiki; Jerzy Cios —
Chopin to geniusz — ale dlaczego?; Lech Bu-
drecki — Tylko tradycje ostatniej daty?; In-
telektualiści w walce o pokój; (em) — Zjazd
pisarzy czechosłowackich; Fakty i zdania;
26 ilustracji; 12 stron.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-93.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-93.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-036216